



Kohorta

BIBLIOTEZKA
SPOŁECZNO-GOSPODARCZA
WYDAWNICTWA « K O H O R T A »

HENRYK KORAB KUCHARSKI

ODKRYJMY FRANCJĘ



PARYŻ — 1940

« K o h o r t a », 45, rue Decamps, Paris XVI^e.

HENRYK KORAB KUCHARSKI

Biblioteka Polska POSK
w Londynie
WYMIANA

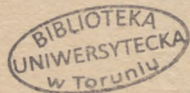
ODKRYJMY FRANCJĘ



*Wydanie
Londyn
5.11.1941
253*

*KUC.
099.4
914.4*

PARYŻ — 1940



1393377

Copyright by Kohorta.

PRZEDMOWA

Właściwie nie była przewidziana żadna przedmowa do tego skromnego rozmiarami dziełka. Nie trzyma go do chrztu, jak to się często robi, jakaś wysoko postawiona osobistość. To nie szkodzi, gdyż, jak zapewnia francuskie przysłowie, nigdy się nie jest tak dobrze obsłużonym jak przez samego siebie. Sam więc siebie będę «przedmawiał».

Z tytułu domyśliliście się już zapewne, że obojętnie uważam się za coś w rodzaju Krzysztofa Kolumba, że ja już tę Francję odkryłem i chciałbym się z Wami podzielić moimi wrażeniami. Nie ma się czym chwalić, bo nie moja w tym zasługa, więc powiem poprostu, że posiadam odpowiednie dane do tej roli. Posiadam je nie tylko dlatego, że przyjechałem tutaj przed 31 laty zdawać maturę i tak już potem zostałem. Ale poza tym miałem z punktu specjalne ułatwienia «krajoznawcze», przyjechałem niejako na gotowe, natrafiłem od razu na przygotowane, od wieku bez mała, ścieżki, poprzez tak zawiłe gąszcze wszechstronnie bogatego życia francuskiego.

Tu muszę sobie pozwolić na domowe zwierzenia, przypuszczając, że nadadzą one jakąś bliższą, poufniejszą wiarygodność moim spostrzeżeniom. Wywodzę się mianowicie z rodziny emigracyjnej. Mój dziad po kądzieli, Albin Nebelski, naczelnik

swego rodzinnego miasta Kamieńca Podolskiego, w r. 1863, był potem wiejskim lekarzem w pobliżu uroczego miasta portowego La Rochelle. Przez dziesiątki lat był przyjacielem i doradcą rybaka, chłopa, okolicznego kasztelana. Pradziad mój, również po kądzieli, Karol Ostrowski, inżynier i kapitan artylerii w 1831 roku, budował następnie kolej P. L. M. (Paryż — Lyon — Morze Śródziemne), której pozostał długoletnim kierownikiem. Przebywał w miastach Montpellier, Marsylii, wreszcie w Paryżu. We Francji, gdzie tradycje przyjaźni rodzinnej ciągną się przez pokolenia, ten siedemnastoletni studencik z Warszawy został przyjęty jak swój, bo wnuk «Doktora Albina», lub prawnuk «Drogiego Pana Karola». Znalazłem się więc odrazu w pokrewieństwie z miastem, z chatą, ze zmurszałym zamkiem o staroświeckich obyczajach.

Skłoniwszy się przed Wami jak przewodnik, polecam swoje usługi, po pokazaniu swych świadectw uwierzytelniających, powiem Wam teraz dlaczego myślę, że taka książeczka jest właśnie teraz potrzebna, że może się naprawdę przydać. Obiecuję, że postaram się nie być zbyt nudnym; ale jasnym jest, że w obecnych czasach mowy być nie może o jakimś niefrasobliwym poradniku turystycznym, wskazującym, gdzie można dobrze zjeść, przyjemnie się zabawić, względnie coś ładnego zobaczyć. Chodzi o coś nierównie ważniejszego, a mianowicie o zrozumienie kraju, w którym przebywamy, z którym dzielimy dole i niedole. Jest to doniosłe, gdyż zrozumienie nie bywa nigdy jednostronne, wywołuje ono zawsze — wzajemność. Nie trzeba więc, żeby nasz pobyt we Francji został pod tym względem zepsuty, spaczony

ny przez pomyłki, wynikające z nieświadomości. Nasze współzycie z Francją powinno być serdeczne i szczerze wykorzystane, gdyż w przyszłości i przez długie lata ten zasiew może dać Ojczyźnie cenny plon pogłębionej solidarności dwóch narodów.

Boć nie jesteśmy przecież żadną emigracją, tak jak mój dziad i pradziad. Ci mogli tęsknić, marzyć o kraju, ale nie mieli żadnej nadziei powrotu. My zaś mamy Państwo, mamy Rząd, po pewnym mniej lub więcej krótkim czasie wrócimy, a to co tutaj w tym okresie dokonamy w boju, w fabryce, lub poprostu w życiu codziennym, to, czego się nauczymy, stanie się na długo ważkim kapitałem moralnym, ba wybitnie politycznym nawet, promieniującym na całą Odrodzoną Polskę.

Brzęknąłem o tak wysoką nutę, gdyż jestem naprawdę przekonany, że każdy z nas, nie wyłączając najskromniejszych, ma podczas wojny do spełnienia we Francji doniosłe, obywatelskie zadanie. W tym demokratycznym kraju opinia nie urabia się na szczytach. Płynie szeroką falą od dołu, oddziałując na prasę, na parlament, a więc wreszcie na rząd. W tym bliskim sąsiedztwie obu społeczeństw — gdyż ostatecznie dla Francji jesteśmy tłumną reprezentacją polskiej rdzennej całości ... spowodowanym przez losy wojny, każde poszczególne słowo ma swoje znaczenie. Każdy z nas może iść lub nie iść na rękę naszemu Rządowi. Generał Sikorski może mieć najprzyjaźniejsze stosunki z p. Edwardem Daladier, ministrowie Stroński, Kot i Seyda zaś dokładać wszelkich starań dla właściwego oświetlenia naszych cnót i poświęceń, i cóż z tego, jeżeli z dołu będą szły jednocześnie jakieś szmery, kwasy, nieprzyjemne na-

stroje, wyzyskiwane skwapliwie przez zaczajoną wrogą propagandę, a wynikające z nieporozumień, a przede wszystkim z niezrozumienia tych, którzy jeszcze nie... odkryli Francji.

Jeżeli nie zostało to już dokonane, to otrząśnijmy się czemprędzej z rozmaitych uprzedzeń, niemądrych sloganów, opryskliwych przesądów. Była moda na to, w Warszawie zwłaszcza, w pewnych sferach pragnących zamarkować swoją wyższość i niezależność umysłową, wśród takich, co nadymając się lubią prawić, że «im to się tak łatwo nie zaimponuje». Nasłuchałem się tych uwag, podczas częstych pobytów w Warszawie

Niektóre z nich były błahe, najwyżej zabawne, aczkolwiek, od ziarnka do ziarnka, może też się uzbierać dość niemiła miarka. Uśmiechnąłem się, gdy w Ziemiańskiej ta ładna Pani, zjadając seryjnie rozmaite napoleonki, czy tam inne murzynki, westchnęła pod moim adresem: «Ach, Panie! Gdyby Francja miała takie ciastka! Moglibyśmy zrobić miliony eksportując je do Paryża!» Uśmiechnąłem się również, gdy jej towarzysza dorzuciła: «Już mniejsza o ciastka. Ale szkoda, że te Paryżanki nie umieją się ubierać!» Nie ma co dyskutować o gustach łokciowo-gałgankowych. Spotykałem też takich panów — prawdopodobnie jechali do Vichy przepłukać chorą wątrobę — którym się wogóle nie podobało, którzy czepiali się każdej drobnostki. Ten się gniewał, że trudno we Francji o «dobre» papierosy, czyli z ustnikami, ten że nie chciano mu dać obiadu o 4-ej popołudniu, inny mówił, że Francuzi są źle wychowani, gdyż wchodzą do kawiarni w palcie, zamiast złożyć je uprzednio w szatni, inny jeszcze posprzeczał się z konduktorem autobusu za to, że zostawił go

na bruku, bo zapomniał wziąć numerku, tamten znowu obraził się na «chama», który przedstawiłny jego małżonce nie pocałował jej w rękę.

Natrafiałem też na podróżnika, który wyraził ubolewanie, że teatr we Francji tak podupadł, że nie ma ani jednego dobrego aktora. A gdy się go spytałem niewinnie, czy często bywał w Paryżu w teatrze, odpowiedział wzruszając ramionami: «Ani razu naturalnie, skoro wiedziałem, że nie warto!» Inny znowu przysiadł się do stolika w kawiarni i o nic nie pytany zagaił: «Ale też brudy w waszych paryskich hotelach! Co za porównanie z Berlinem!» Po bliższym badaniu okazało się, że porównywuje najwykwintniejszy hotel berliński Adlon, w którym przebywał — bo się dorobił — sprzedanego roku, z jakąś nędzną klitką studencką, w której zmarł i głodował 35 lat temu. Ale najpociesznější chyba był ten jegomość, który mi zakomunikował z namaszczeniem, że Paryż pod względem technicznym jest niezmiernie zacofany! Gdy się go spytałem dlaczego, odpowiedział mi zupełnie serio: «Nie macie nawet tramwaji elektrycznych...» Nie wiedział biedula, że zostały zlikwidowane kilka lat temu, dla ułatwienia ruchu ulicznego.

Oto wiązanka nagminnych głupstewek, pochodzących zapewne od ludzi nie obdarzonych bystrą inteligencją. Nie ma to, być może wielkiego znaczenia, ale jednak... Jest w tym jakieś nastawienie niechęci, które przeniknęło do nas nie wiedzieć skąd... Można się przecież domyśleć. Ale istniały «sposprzeżenia», jeżeli je tak można nazwać, ważniejsze. Taki ważny pan wiercił mi przez kwadrans dziurę w kamizelce, aby mi wyklarować, że mam bielmo w oczach, że Francja

jest u schyłku swojej dziejowej kultury, że jedynym słowem jest już wykończona. Mógł to, powiadał smętnie, dobrze zaobserwować. Wszak cały urlop spędził we Francji, z czego tydzień w Paryżu, a trzy tygodnie w... Monte Carlo! Nie zdawał sobie wcale sprawy, że nieświadomie powtarza argumenty dr. Goebelsa, jak za panią matką pacierz. Usłyszał to z piątej, może z dziesiątej ręki, ale prazdrój tych wywnętrzeń można było nieomylnie przewąchać.

W tym miejscu niejeden czytelnik sobie prawdopodobnie pomyśli: «Ma rację, ale czy Francuzi też nie robią uwag często drażniących dla polskiego ucha?» A jakie, proszę Was bardzo? Trzeba raz skończyć z wałkowaniem klasycznego «Saoûl comme un Polonais» (urzęnięty jak Polak). Owszem, to jeszcze się teraz może zdarzyć, że Francuz w naszej obecności to wypali. Nie ma co się jeżyć, gdyż nie ma to dla niego żadnego rzeczowego sensu. Utało się to powiedzonko, jak u nas: «Wlany w kij» lub «na pestkę». Kij, Polonais, pestka, to ta sama językowa brednia, której powstania nie domyśli się największy mądrala filologiczny. Francuz, który dłuższy czas przebywał w Polsce i oswoił się z naszymi wyrażeniami, powiedział mi niedawno: «To dosyć zagadkowe, że w Polsce nazywają «francuskim pieskiem» cherlaka, niedpornego na mróz, na słotę, na zmęczenie. Nie wiedzieć też, dlaczego nazywają plugawe robactwo domowe «Francuzami». Ale się ani trochę nie gniewał. Śmiał się, bo wiedział, że ni przyszył tu ni przyłatał. Mówi się przecież we Francji «mocny jak Turek», nie wiedząc za co i dlaczego. Dżentelmena, który oszukuje w karty nazywa się «Grekiem», gdy zaś u nas «robisz ze

mnie Greka» oznacza wręcz przeciwnie, że «strugasz ze mnie idiotę», co też jest ni w pięć ni w dziewięć. Z tych wszystkich folklorystycznych nonsensów, jeden tylko ma sens, rym, treść, jeden tylko jest usprawiedliwiony, istotny: «Oszwabiasz mnie!» Właśnie ten pan, studjujący Francję przy ruletce był niewątpliwie — oszwabiony!

Załatwiwszy się z tym wszystkim, korzystajmy więc teraz ze sposobności, którą nam narzucił przelotny bieg dziejów. Czyż w ciężkich przeżyciach może istnieć szlachetniejsza pociecha, jak kształcenie się, jak wzbogacenie ducha, co się kiedyś zresztą może wyrazić w bogactwie doczesnym? Uczmy się więc nie tylko języka, ale uczmy się Francji, odkryjmy Jej właściwe, rozumne, a tęgie oblicze. Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł Wam choć troszeczkę w tym zapoznaniu dopomóc. Zrobię to bez pedanterii. To nie przemysłany wykład, albo mozolnie przepracowana książka, ale swobodna rozmowa, przy kawie, w życzliwym koleżeńskim gronie.

JEDNOLITA RÓŻNORODNOŚĆ

Kiedy mówiłem na wstępie o trudnych do przeniknięcia, zawitych gąszczach życia francuskiego, to nie miałem napewno na myśli jakichś romansowo-policyjnych tajemnic, które około północy, narażają czytelnika na gęsią skórę. Takich podniecających sekretów jest już bardzo mało. Nic innego w tym rodzaju już nie widzę, poza haniebną, a perfidną krecią robotą agentów sowieckich (dzisiaj w gruncie rzeczy niemieckich!) oraz kryminalną, a zasobną organizacją kolportażu białej trucizny — kokainy. Nawet osławiona masoneria stała się czymś zupełnie jawnym. Bez wielkiego zachodu można zdobyć zaproszenie na rzekomo tajne zebranie «Wielkiego Wschodu» na ulicy Cadet.

Trudność wyrobienia sobie słusznej oceny o temperamencie i obyczajach francuskich wynika z tego, że pod jednolitą skorupą administracyjną, Francja pozostała zadziwiająco różnorodna. Gdy się jedzie samochodem, gdyby nie od czasu do czasu mundur, lub niezmienna sygnalizacja drogowa, możnaby przypuszczać, że się bezwiednie «przegapiło» jakąś państwową granicę. Zmieniają się nie tylko krajobraz i styl budynków, ale również i l u d z i e. I to ostatnie jest chyba najważniejsze i powinno być zawsze brane pod uwa-

gę. Wyobrażam sobie czterech polskich żołnierzy, z których jeden przygotował się do wojny w Bretanii, drugi koło Tuluzy, trzeci w Burgundii, a czwarty wreszcie pod Lyonem. Niechże się zjadą na wspólnym urlopie i zaczną gawędzić poczynając, jak przystało od uwagi, że Francuzi są tacy albo tacy. Dla pierwszego będą krnąbrni, dla drugiego sympatyczne gaduły, dla trzeciego serdecznie gościnni, dla czwartego jakoś z cicha pęk. Wszyscy będą innego zdania i wszyscy będą mieli rację.

Dla porównania zaznaczę, że Polska, pomimo rzekomego piętna trzech zaborów i czasem trochę innej melodii wystawiania jest znacznie bardziej zawsze do siebie podobna. Naleciałości zewnętrzne są błahe. We Lwowie mówi się «trafika» a w Warszawie «dystrybucja». Grunt to tej lub innej «muzyczki» (mówię «muzyczka» a nie «muzyka») może być inny, ale na tym koniec. Ciężkawa solidność Poznaniaków, płochliwość Warszawiaków, czarno-żółte C. K. (cesarsko-królewskie) narowy Krakowian — to są wszystko legendy, łatki, które sobie ludzie przypinają, sami w to nie wierząc. Między Drzymałą a chłopem z «Placówki» Prusa nie ma żadnej różnicy. We Francji jest inaczej. Dlaczego?

Zapewne wpływa na to szeroka rozpiętość klimatyczna i zadziwiająca różnorodność pejzażu, jaskrawo się różniących horyzontów, wśród których od dziecka wyrósł obywatel. Jest to czasami wręcz uderzające. U schyłku roku 1931 — objechawszy mniej więcej cały świat strzeliło mi coś nowego do głowy. Zapowiedziałem: «Je voyage en France» ... Teraz podróżuję po Francji! Zima była wyjątkowo ostra, zaśnieżenie ogromne. Pewnie, że było w moim pomysłu trochę kabotynizmu spor-

towego. Chciałem dowieść, wykreśliwszy sobie z góry najryzykowniejszą trasę, że dobrze zmotoryzowany turysta może się przewinać nawet zimą przez najgorsze przełęcze i wertepy. Ale poza tym chciałem zobaczyć Francję «na białą», bo przecież zwykle wędruje się latem. Tylko częściowo mi się to udało. Na górze w Ardenach zastałem co prawda istną Wileńszczyznę: 28 stopni mrozu! Baby mówiły nawet, w co już mniej wierzyłem, że pokazały się wilki. W Charleville pałaszowaliśmy ubitego na miejscu dzika, przed wielkim kominem, do którego możnaby było wejść nie schylając się i w którym płonęły całe stare drzewa, pocięte na ogromne kłody. Na ulicy spotykałem ludzi w ciężkich dachach, w futrzanych czapkach z kłapami na uszach. W kilka dni później w Rayol, nad błękitnym morzem jadłem obiad południowy w ogrodzie, wśród palm, eukaliptusów i krzewów mimozy. Słońce tak grzało, że zrzuciłem marynarkę. Niezawodnie inaczej urabia się duch i nawet typ tubylca wśród chojaków zachochlonych przez długotrwałe śniegi i pod palmami kołyszącymi się w słońcu. To wytłumaczenie przecież nie wystarczy. Istnieje inny powód, który dla czytelnika nie chętnie patrzącego się w przeszłość będzie niespodzianką: Francja, jako jednolite państwo jest młodszą od Polski. Gdy Polska już oddawna stanowiła całość organizacyjno-państwową, Francja zaledwie poczęła się jednoczyć. Dopiero w końcu piętnastego wieku Ludwik XI po szeregu bojów i zmagani przyłączył do Korony księstwa burgundzkie, andegaweńskie, prowancje, których byt i obyczaje były dotychczas zupełnie niezależne. To dzieło państwowego zjednoczenia zostało zakończone zaledwie w końcu siedemnastego wieku

przez Ludwika XIV, który zagarnął Flandrię, ten «Czarny kraj», gdzie się osiedliło obecnie tylu Polaków.

Dzisiaj pod względem administracyjnym, sądowym, szkolnym, Francja jest krajem najbardziej zespolonym, najbardziej «zgleichszaltowanym» na świecie, nierównie ściślej niż Stany Zjednoczone, Anglia, a nawet Rzesza, Rzesza dzisiejsza, bo nie mówię oczywiście o Niemczech z przed 1914 roku, a tymbardziej z przed roku 1870. To Napoleon I tak Francję przechrcił i umundrował, podciągając wszystkie prowincje pod ten sam kolor. Skasował, urzędowo przynajmniej, starodawne nazwy, poćwiartował kraj na 89 departamentów nadając im nowe imiona, zapożyczone przeważnie do lokalnych rzek lub gór. Wbrew dotychczasowym zwyczajom, nakazał przerzucanie urzędników, nauczycieli, poborców z najodleglejszych zakątków w obce im strony. Chciał w ten sposób zatrzeć różnice, wszystko przetasować, przemieszać, stonować. Tylko pozornie mu się udało. Jego system przetrwał, to prawda, po dziś dzień. Przeszedł nietknięty przez rozmaite ustroje, przetrzymał monarchię, dwie rewolucje, drugie cesarstwo i szereg wojen. Jednakowoż po za suchą nomenklaturą urzędową, której dzieci w szkołach powszechnych muszą się «wkuwać» na pamięć, dawne nazwy, odrębności i swoiste cechy pozostały wybitnie żywotne. Adresując listy pisze się zapewne na kopertach: «Seine Inferieure», «Côte d'Or», «Bouches du Rhône», «Puy de Dôme», «Morbihan», ale na spełnieniu tego pocztowego obowiązku ogranicza się powolność obywateli wobec napoleńskiego systemu o niewątpliwie koszarowej inspiracji. Za ty-

mi biurokratycznymi etykietami jak byli, tak zostali Normandowie, Burgundowie, Prowansalczycy, Owerniani, Bretończycy. I różnią się od siebie jako typ ludzki i jako charakter.

Przypominam sobie rozmowę, jaką miałem ongi z droгим mej pamięci Władysławem Rabskim, świetnym i przenikliwym publicystą, ale bardzo mało znającym Francję. Mówiąc o pewnym dziennikarzu, przebywającym w Warszawie, wykrzyknął: «Ach, jakież to typowy Francuz!» Uważał bowiem, że typowy Francuz musi mieć czarny wąsik i być bardzo ożywiony i ruchliwy. Odpowiedziałem mu, że przede wszystkim wspomniany korespondent nie jest Francuzem, ale Szwajcarem, i że wogóle typowy Francuz nie istnieje. Dał się przekonać. Zresztą podobną pomyłkę popełniali przez długie lata tak bliscy sąsiedzi, jak Anglicy, których własny typ jest istotnie bardzo jednostajny i określony. W rewjach i w karykaturze przedstawiali oni zawsze Francuza jako cherlawego jegomościa w żakiecie i cylinderku, z kosią czarną bródką, a uciekającego w panicznym strachu, na widok piłki nożnej. Trzeba było aż wielkiej wojny, kiedy miliony Anglików zetknęły się z ludem francuskim, w boju i na tyłach, aby ten «typowy Francuz» zeszedł bezpowrotnie ze sceny. Daleko nie sięgając, nic chyba lepiej nie ilustruje tej różnorodności jak zestawienie dwóch postaci spopularyzowanych przez aktualności kinowe, dwóch byłych premierów: pp. Lavala i Flandina. Jeden niski, krępy, małowówny, o czole zarośniętym przez czarne brwi i włosy, o wejściu twardym i ponurym, o ustach przysłoniętych gęstym wąsem. Drugi olbrzym, dominujący

ponad przeciętny tłum, rudawy, uśmiechnięty, krasomówczy. Oto dwa okazy Owernii i Flandrii.

Zależnie więc od tego, z kim zadzierzgniecie przelotną choćby znajomość, w wagonie kolejowym, w miasteczku sąsiadującym z obozem, lub przy pracy — odniesiecie zgoła odmienne wrażenia. Normand wyda się Wam nieufny, nieomal podejrzliwy. Będzie dawał wymijające odpowiedzi. Zawsze będzie się starał odpowiadać przez «Tak» lub «Nie». Burgundczyk, wręcz przeciwnie, tak się zachowa, jak gdyby po świecie chodzili sami tylko dobrzy ludzie. Siedem lat temu, kiedy Polska nie była specjalnie modna, zachciało nam się z dwoma polskimi małżeństwami spędzić Sylwestra w Dijon (stolicy Burgundii) ile, że się tam świetnie jada i pije za tanie pieniądze. Bawiliśmy się między sobą doskonale, gdy podszedł do nas jakiś pan i przedstawił się. Po chwili powrócił z żoną i jeszcze dwiema osobami ze swej rodziny. Sylwester jak Sylwester! Poczęli nas uczyć soczystych pieśni burgundzkich, my zaś rewanżowaliśmy się polskim repertuarem. Gdy im powiedzieliśmy, że wyjeżdżamy nazajutrz, zmartwili się niepomiernie, odgrając się, że siłą choćby zabiorą nas na polowanie, gdyż w okolicznych leśnych wzgórzach jest zatręszenie grubej zwierzyny. Przypisaliśmy z nieusprawiedliwionym sceptycyzmem te energiczne zaprosiny wspaniałemu burgundzkiemu winu, wślawionemu «Clos Vougeot», którego zażycie powoduje piorunującą szczerłość. Bynajmniej! Nazajutrz zajechali do naszego hotelu dwoma samochodami przywożąc dla mężczyzn cały rynsztunek: kubraki, buty, dubeltówki. Przez trzy dni polowaliśmy i uczowaliśmy bez przerwy w skromnym, ale jakże miłym

domku myśliwskim. A najładniejsze chyba, że do-
wożąc nas z powrotem do Dijon, nasi gospodarze
przystanęli z pietyzmem przed pomnikiem ge-
nerała Bosak-Haukego, zauważając, że tu padł
«Wasz» generał, na czele polskiej brygady pod-
czas wojny francusko-pruskiej w 1870 roku. Nie
chcieli słyszeć o żadnym rewanżu, błagając tylko,
żebyśmy wrócili. Oszalniają nas w pierwszym
zetknięciu obywatele rozstłonecznionej Prowancji
z Avignon, Marsylii, Tulonu. Gadają, jak koło-
wrotki, zakrzykują się wzajemnie, niczym nasze
żydki, rozmawiają wciąż rękoma, szarpiąc sąsia-
da za klapę od marynarki, albo też kosząc szer-
okim gestem ze stolika szklanki i syfony. Nigdzie
się nie tłucze tyle szkła, co w marsylskich kawiar-
niach. Przyczym używają co chwila tak już jędr-
nych wyrażen, że gdzieindziej doszłoby wnet do
awantury. Ale tutaj nikt się nie obraża, nawet,
gdy się go nazwie bandytą, szulerem, a jego żo-
nę niewiastą lekkiego prowadzenia. Ot, takie so-
bie niewinne żarty! Słowa tu nie mają tego sa-
mego znaczenia. Łżą poza tym, jak z nut. Ten
«milioner» ma pięć franków w kieszeni, a ten
wspaniały bohater, który sam jeden wziął całą
kompanię niemiecką do niewoli, nigdy nie był na
froncie. Bezinteresowne to zresztą «bujanie»,
które nikogo nie zirytuje, ani w błąd nie wprowa-
dzi, o ile się wie, z jakim rodzajem ludzi ma się
przyjemność.

Na zupełnie przeciwległym końcu znajdują się
pod tym względem mieszkańcy Owernii, położo-
nej geograficznie w samym centrum Francji. Sa-
mi Francuzi, z innych stron oczywiście mówią o
nich, że są tak oszczędni, iż zaoszczędzają nawet
słowa. Byłem zaproszony na obiad do jednej po-

dziwej rodziny w Clermont-Ferrand, gdzie było
siedem osób przy stole i przez godzinę nikt się
nie odezwał. Próbowałem zagaić, nawiązać, ani
rusz. Więc zrezygnowałem, i jedliśmy w milcze-
niu. Ale ten, kto nie wie, mógłby pomyśleć, że
postępują z nim, specjalnie z nim — niegrzecznie.

Melancholijna, jeśli nie wręcz posępna wydaje
się Bretania. Ludzie zdają się być pogrążeni w
rozmyśleniach, w jakichś mistycznych medyta-
cjach i to nie tylko wpatrzni w dal rybacy, ale
chłopi i mieszczanie, zamieszkali po wsiach i
miasteczkach wewnątrz kraju. Barwne są, dzięki
małowniczym strojom jarmarki i procesje, cią-
gnące do kościoła lub starej zmurszałej, kamiennej
kalwarii, ale zawsze jakieś smętne. Dziwny na-
ród, głęboko religijny, ale jeszcze niezupełnie
wyzwolony z pewnej wiary w chochliki, widma,
czary, którymi są przesycone bretońskie prastare
legendy.

Nie wolno mi się już bardziej rozwlekać, więc
pominę dziesięć innych prowincyj o odmiennym
wyrazie i ludziach. Nie sposób przecież nie wspo-
mnieć choćby kilku słowami o Lotaryngii. Tu na
niemieckiej granicy, tętni najżarliwszym patrio-
tyzmem, który zawsze się kojarzy — proszę mi
wierzyć, że nie ma tu żadnego naciągania — z
niewygasającymi uczuciami do Polski. Nic zresz-
tą dziwnego. Wszak stolica Lotaryngii, Nancy,
nazywa się potocznie «grodem stanisławow-
skim». Stanisław Leszczyński, który tak mało za-
ważył na naszej rodzimej historii, zasłużył sobie
tutaj na miano «ukochanego dobroczyńcy». Jemu
Nancy zawdzięcza to istne cudo architektury
XVIII-go wieku, jakim jest plac Stanisława. Trzy
lata temu, z okazji wielkiej rewii urządzonej ku

naszej chwale, widziałem ten wspaniały czworobok ze szlachetnych kamieni i brązów, przysłonięty od ziemi po dachy polskimi chorągwiami. Nie były to chorągwie okolicznościowe, na prędcie pozszywane, ale stare, przechowywane wśród pamiątek rodzinnych przez mieszkańców, od dni styczniowych 1863 roku, kiedy je wywieszono poraz pierwszy, na wieść radosną o polskim powstaniu. A trzy lata temu jakże potężnie i z jaką wiarą tłum lotaryński oklaskując piękną rewję wznosił niemilkący okrzyk: «Niech żyje Polska!». Każdemu ze stłoczonych szczelnie widzów, czy był ubrany zasobnie, czy biednie, wprost biła z oczu przyjaźń i wierność.

Nie zakończę przecież jeszcze, nie dodawszy, że nietylko administracja napoleońska jednoczy te tak różnorodne ludy. Widać dzisiaj dobrze, że jeszcze coś innego i głębszego kojarzy je. Powie nam to każdy na swój sposób, zgodnie ze swym odrębnym temperamentem, nagderawszy się uprzednio — każdy Francuz gdera! — na drożyznę, na podatki, na złą organizację, na brak kawy, węgla lub ciastek, powie nam szumnie i krzykliwie, lub cedząc przez zęby zaciśnięte, że choćby ta awantura miała trwać dziesięć lat, to trzeba z nimi zrobić porządek i koniec.

POLITYKA DOMOWA

Wbrew częstym prorocstwom, mającym zresztą wszelkie pozory słuszności, trzeba się pogodzić z faktem, że III Republika trzyma się dość mocno. Nikt się nad nią nie rozaniela, nikt się tym ustrojem specjalnie nie zachwyca, ale, po każdym przeżywanym kryzysie, po każdej ostrzejszej gorączce, ludzie sobie mówią, że ostatecznie lepsze to, niż coś innego. Bo co się tyczy zmian i przewrotów, to Francja jest raczej zblazowana. Miała tego po uszy w epoce, którą my, Polacy, nazywamy porozbiorową. W czasie, kiedy dookoła rozmaite cesarstwa i królestwa zdawały się zastęgać w swych formach, Francja pozwalała sobie co kilka lat na ustrojowe koziołki. Przeżyła zawrotny kontredans haseł, godeł, barw narodowych. Prawowierny obywatel, taki, który nie lubi się narażać władzom, bał się wciąż pomyłki i, że krzyknie nie w porę: «Niech żyje Król!», kiedy będzie cesarz, a «Niech żyje Cesarz!», kiedy będzie Republika. Ta niebezpieczna zabawa ciągnęła się przez czas kiedy się mogło zdawać, że Francji nic od zewnątrz nie zagraża, że, w każdym razie Prusy na to nie stać, ciągnęła się aż do klęski. Bo dopiero Sedan 1870 roku był prawdziwą wielką klęską francuską. Waterloo, prócz nader już dzisiaj nielicznych bonapartystów, nie pozostawiło w sercach francuskich żadnej gory-

czy. Rok 1815 oznaczył kres epoki napoleońskiej, ale nie stanowił katastrofy narodowej. Wówczas chciano się tylko dobrać do Napoleona I, a samej Francji niczym nie skrzywdzono. Po Sedanie, wręcz przeciwnie, Bismark mało dbał o wątplą postać Napoleona III, a pragnął zażarcie zmiażdżyć Francję. A, że się to zmiażdżenie nie udało, gdyż kraj po przegranej wojnie dźwignął się do pracy, podnosząc się zadziwiająco szybko, Berlin począł tęsknić do nowego francuskiego wewnętrzznego «bałaganu», któryby sąsiada osłabił, unieszkodliwił.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że Niemcy nie czuły się tak pewne siebie, że się bały rewanzu. Ten niepokój zmontował Cesarstwo aż do roku 1914 i już w roku 1875 omal nie doprowadził do ponownej wojny, kiedy Bismark doszedł do wniosku, że należy urządzić Francji, póki czas jeszcze, poprawiny. Natomiast po 1919 roku, niemieckim marzeniem było rozprzęgnięcie się Francji w domowych konwulsjach ustrojowych, lub społecznych, stając się bezoporną ofiarą odwetu.

Przyznać trzeba, że w tych dwóch odrębnych okresach wczorajsi «Bosze» i dzisiejsi «Fridolini» mieli sporo okazji do radosnego zacierania sobie rąk. Nie brak było ostrych wstrząsów i skandali. Już się mogło zdawać, że się jest w przededniu zamachu stanu, rewolucji, wojny cywilnej i nic, nic prócz rozczarowania dla tych, którym Francja przeszkadza w ich «misji», polegającej jak wiadomo na wzięciu w jasyr ludów Europy. Od 1871 roku po dziś dzień, Francja wykazała swoją niewyczerpaną żywotność nawrotu do wewnętrznej równowagi. Ale i ustrój zdał tu,

bądź co bądź, egzamin. Jeżeli godłem Paryża jest nietonący nigdy okręt, to pomnik III Republiki powinienby być odlany z gumy: zgina się, ale nie pada.

Inna rzecz, że Niemcy, w swych pobożnych życzeniach przesadzali chętnie francuskie tarapaty, trąbiąc na cały świat, że kraj ten jest w przededniu grubszej awantury. Ale nawet obiektywny i życzliwy obserwator mógł mieć chwile wątpliwości i przypuszczać, że lada chwila ludność rozpedzi parlament i poszarpie konstytucję. W pierwszym okresie, który znam nietylko z książek, ale i z opowiadań naocznych świadków, III Republika przeżyła komunę, dyktatorialne zakusy generała Boulanger, Panamę, t. zw. skandal orderów, sprawę Dreyfusa, które wywołały fenomenalne zainteresowanie. Komuna pozostawiła zgliszcza i spowodowała nader krwawe represje. Uroczy generał Boulanger oczarował przez kilka miesięcy Francję, która była w nim wręcz zakochana, widząc w nim wodza, króla czy cesarza. O mały figiel, że piękny generał na swym czarnym koniu nie wkroczył do pałacu Elizejskiego, wypędzając zeń Prezydenta. Generał się godzinę zawahał, kraj się ocucił, Boulanger skończył smętnie na cmentarzu w Brukseli, gdzie sobie palnął w łeb na grobie swej ukochanej. Panama rzuciła ciężki cień na ustrój parlamentarny, gdy się okazało, że stu kilkudziesięciu posłów pobrało łapówki od Lessepsa, genialnego inżyniera i geografa, który, nawiasem mówiąc, prorokował, że w roku 1975 Warszawa będzie największym miastem w Europie. Panama zachwiała III Republiką, gdyż Lesseps dowiódł, że przy istniejącym ustroju parlamentarnym nie miał innego sposobu zdobycia

kredytów dla ukończenia dzieła o kolosalnym znaczeniu państwowym. Istotnie, gdyby nie ten marny skandal, nie Ameryka, lecz Francja byłaby właścicielką tej kapitalnej drogi morskiej. Zaledwie się uciszyła panamska nawałnica, gdy już rzucono na pastwę gawiedzi podniecającą wiadomość, że zięć Prezydenta Republiki p. Grévy sprzedaje za grube pieniądze odznaki Legii Honorowej. Grévy musiał się podać do dymisji i już pisano potocznie, że ustrój jest zgniły, że trzeba znaleźć coś nowego. Długo nie pisano, gdyż wkrótce potem wybuchła nowa sensacja: sprawa Dreyfusa, która rozbiła Francję na dwa wrogie obozy. Skakano sobie do oczu, nie było dnia bez awantury, w restauracjach ludzie z najlepszego towarzystwa bombardowali się wzajemnie talerzami i butelkami, ustrój dygotał, ugiął się, ale przetrwał. W przedeniu wojny niezmierne napięcie wywołał proces pani Caillaux, małżonki byłego premiera, która zastrzeliła dyrektora dziennika «Figaro» za to, że atakował w swym piśmie jej męża. W tym czasie paryski korespondent berlińskiego «Lokal Anzeiger» pisał: «Społeczeństwo francuskie jest tak na tym tle powaśnione, że nie zwraca na nic innego uwagi, że nie reaguje wcale na niebezpieczeństwo spowodowane przez zamach w Sarajewie. Sfery rządowe też zdają się podlegać tej psychozie skandalu». Przenikliwy zaiste psycholog! Gdy ogłoszono mobilizację, tyle myślano o pani Caillaux, co o rzuconym na ziemię ogarku od papierosa. Zwolennicy i przeciwnicy, radykałowie i narodowcy, pomaszrowali w jednym szeregu i basta!

To samo widzimy teraz, aczkolwiek okres III Republiki również obfitował w rozmaite hece fi-

nansowo-polityczne, uzupełnione przez fermenty społeczne w nieznanym dotychczas stylu. Mieliśmy skandale pani Hanau, ex-kelnera, przekształconego na bankiera Oustrica, wreszcie Stavisky'ego. W perspektywie kilku lat te głośne awantury wydają się dosyć mierne, nierównie mniejsze od afer Loewensteina w Belgii, lub Kruegera w Szwecji, aczkolwiek zrobiono im więcej reklamy. Nie trzeba zapominać, że w czasie pokojowym Francuzi, a ściślej francuscy politycy — a któż tu, gdy nie ma szczęki broni nie zajmuje się polityką? — korzystają skwapliwie z każdej okazji, aby się wzajemnie łącać, aby wpychać przeciwnika w trzęsawisko. A potem echa tych homerycznych, namiętnych sporów roznoszą się po świecie, dając fałszywy obraz niemoralności i bezładu. Zwłaszcza historię Stavisky'ego rozdmuchano w sposób niepomierny, stwarzając w całym kraju niezdrowe podniecenie. Nic tak bowiem nie oburza szerokich mas, jak przypuszczenie, że przedstawicielstwo i rządy kraju spoczywają w ręku ludzi nieuczciwych, którzy wszystko gotowi są zrobić za pieniądze. Polityka chciała wykorzystać tego kijowskiego żydka, aby skompromitować w oczach opinii partię radykalną. Z tych polemik — przeciwko którym nie było dostatecznych sankcyj karnych, ani tymbardziej cenzury — człowiek łatwowierny mógł być wywnioskować, że nie było posła czy ministra radykalnego, któryby nie siedział przy stole Stavisky'ego i nie brał od niego pieniędzy. Fantastyczna przesada, gdyż po ścisłym badaniu okazało się, że jeden jedyny poseł najzupełniej nieznaną i bez znaczenia, niejaki Bonnauure wpadł w sidła kijowskiego oszusta. Ale nim doszło do tego «potem», połała się krew. Na placu

Concorde strzelano do tłumu, który nacierał na policyjne barykady, chcąc się wdrzeć przemocą do gmachu Izby. Rządy waliły się jeden po drugim. Nikt już nie chciał i nie mógł stworzyć nowego gabinetu. Spodziewano się jakichś rzeczy nowych, zadziwiających, zmiany ustroju, dyktatury...

III Republika przetrwała te rozwydrzone hałasy i miało się puszczać na ryzykowne eksperymenty, powołała do władzy jako człowieka ...«nowego», czcigodnego starca, byłego Prezydenta Republiki Gastona Doumergue, który przez trzydzieści pięć lat piastował najwyższe urzędy państwowe. Zamiast jakiemuś śmiałemu zawadzając o «totalniackim» animuszu, Francja powierzyła swe losy zrównoważonemu, pocziwemu dziadziuniowi. I w chwili, kiedy pisma berlińskie zapowiadały, pomlaskując żarłocznie, francuską rewolucję, wszystko się uspokoiło.

Kierat parlamentarno-wyborczo-konstytucyjny znowu się zakreślił, aż zadygotał, tym razem znacznie poważniej. Mianowicie w latach 1936-37 już nie chodziło o cześć politykę, ale o coś nierównie ważniejszego — o pracę. Naród może znieść rozmaite fermenty prócz nieróbstwa. Otóż jest faktem bezsprzecznym, że front ludowy, który legalnie chwycił władzę w maju 1936 roku, najzupełniej zdeorganizował produkcję. Pod wpływem komunistów, dzisiejszych parobków Hitlera, którzy siedzą obecnie pod kluczem, nastąpił okres rujnujących strejków i okupacyj fabryk. Tu już Niemcy miały naprawdę prawo się cieszyć, gdyż francuska bezczynność usprawiedliwiała jaknajdalej idące ich ambicje agresywne. Francja głowiła się nad tym, jak wybrnąć z tej sytuacji nie-

tylko paskudnej, ale wybitnie narodowo niebezpiecznej. Najłagodniejsi mówili o konieczności rozwiązania izby frontu ludowego, najśmielsi, jak «Krzyże ogniste», o zbrojnym zamachu stanu. Obeszło się bez tego. Bez krzyku, świadomy swego obywatelskiego obowiązku, p. Leon Blum rzekł się władzy na rzecz p. Edwarda Daladier, który już jej długo z rąk nie wypuścił. Francja oknęła się i zabrała ponownie do pracy, starając się, w miarę wszystkich sił i możliwości, nadrobić cenny stracony czas. Uszanował skrupulatnie konstytucję III Republiki. Zresztą nie miał powodu postępować inaczej, gdyż polityka przycichła, ustały wichrzenia syndykalne, a robotnicy sami nakazali milczenie podejrzanym agentom komunistycznym, których widywano na wiecach, ale nigdy przy warsztacie.

Dzisiaj Izba, pozbywszy się dywersantów na obcym żołdzie, kontroluje rząd, ale przyznaje jednogłośnie zaufanie. Pisma stały się trochę monotonne, wszystkie piszą mniej więcej to samo, nikt nikomu nie wymyśla, chyba, że wszyscy chóralnie pp. Hitlerowi i Stalinowi. Etykiety polityczne tak się zatartyły, że dzisiaj już nie ma sposobu odgadnąć, czy się rozmawia z arcy-prawym monarchistą, czy z karmazynowym socjałem. Jedyne tematy, to zwycięstwo, za wszelką cenę: pieniędzy, życia, czasu.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Co tu obwijać w bawełnę: nie byliśmy zbytnio zachwyceni zagraniczną polityką Francji w ciągu XIX stulecia. Kiedy piszę «zagraniczną», to jasnym jest, że mieliśmy przede wszystkim, a nawet jedynie na myśli politykę w stosunku do Polski. W uszach mojego pokolenia brzęczał, jak wstrętny komar, slogan z Warszawianki Wyspiańskiego usłyszany w latach chłopięcych: «A Francja nam piosenkę przysyła». Ten sceptycyzm zaszczerpiony w zaraniu życia, sączył się nieuchwytnie, był nawet w najostatniejszych czasach wykorzystywany przez niemiecką dyplomację, której zadaniem jest nie tylko przygotowanie agresji, ale również skruszenie od wewnątrz, u przeciwnika, ducha i wiary. Nasze przejściowe niedowiarstwo było naturalnie sympatycznie witane w Berlinie. Śmieli się tam w kułak, wychwalając naszą rzekomą «trzeźwość», starając się nas jaknajbardziej skompromitować w oczach zachodu, mnożąc podejrzaną «randki» berlińskie, manifestacje przyjaźni i polowania na rysie. Pewnie, izolowanie upatrzonemu łupu szło im zupełnie na rękę. Francja z nieklamany smętkiem obserwowała tę perfidną robotę, zmierzającą, bez cienia wątpliwości, do rozgromienia i opanowania centralnej Europy.

Nie wierzę, aby istnieli w nas frankofobi, bo to by zakrawało na zdradę, ale byli, że tak powiem — «frankosceptycy». Opierali swoje wywody na precedensach zapożyczonych z historii. Nie znam gorszej metody rozumowania, jak sztuczne doczepianie przykładów z przeszłości do radykalnie zmienionej, żywej, aktualnej sytuacji. Ładnieby wyglądała na przykład Francja, gdyby swój stosunek do Anglii obciążyła, już nie powiem spaleniem na stosie Joanny d'Arc, ale daleko nie sięgając — rok 1893 — smętnej pamięci Fachoda, kiedy Londyn przez brutalny nacisk dyplomatyczny, powstrzymał bohaterski pochód majora Marchand do, niezbadanych dotąd przez nikogo, źródeł Nilu. Nadaremnie stara się dzisiaj propaganda niemiecka, przez radio i w ulotkach, to przykre wspomnienie rozognić. Kogo Jowisz chce zgubić, temu odbiera rozum. Kogo Niemiec chce pożreć, temu podsuwa anty-lubczyk ...precedensu.

Rozpatrzmy pokrótce nasze francusko-polskie precedensy, ale poto, żeby je rozerwać i rzucić jak niepotrzebne kartki z kalendarza. Nie przeczę, że jeżeli żołnierz polski ubóstwiał Napoleona, to polityk miał prawo być rozczarowany. Po drugoczącym zwycięstwie pod Jeną zadowolnił się odbudowaniem skromnego Księstwa Warszawskiego. Nie chciał nawet nominalnego wskrzeszenia dawnej nazwy, gdyż w tym czasie jeszcze wolał nie psuć swych stosunków z Carem. Sześć lat potem, wręcz przeciwnie, obojętny na nasze rady, a nawet błagania, nie chciał się zatrzymać w Smoleńsku. Poniosła go namiętność imperialna, która jego i nas doprowadziła do zguby. To wszystko prawda, ale czy może tu wchodzić w grę jakies porównanie z dzisiejszym położeniem?

W roku 1830 roku Ludwik-Filip, świeżo upieczony król francuski, zachęcał nas niewątpliwie do chwycenia za broń, a potem, jak się u nas mówi, wystawił nas do wiatru. Koniunktura była zupełnie wyjątkowa. Ludwik-Filip był królem rewolucyjnym, co się może wydać paradoksalne, ale fakt, że rewolucja lipcowa posadziła go na tron, po przepędzeniu właściwego króla Karola X. Sytuacja takiego króla była bardzo niewyraźna. Wiele dworów nie chciało go uznać, między innymi i Rosja, co go wielce bolało. Gdy jednak tylko wybuchło powstanie listopadowe, sprytny Mikołaj wysłał czempredzej do Paryża ambasadora z nader pochlebnymi listami uwierzytelniającymi dla Ludwika-Filipa, poczciwego ale nader chwiejnego monarchy. Oczywiście, że racja stanu przezwyciężyła sentyment, zwłaszcza, że nie było i być nie mogło wówczas między Francją a nami żadnego sojuszu. Nie tylko przez posła Beranger przesłał nam wtedy swą piosenkę, o której wspomniał Wyspiański; cała Francja była do głębi wzburzona, manifestując swój wstręt do królewskiego oportunistu przez pochody i rozruchy uliczne. Po dziś dzień słowa «l'ordre règne à Varsovie» (ład panuje w Warszawie) uchodzą za przysłowiowy wyraz hańbiącej urzędowej hipokryzji. Wypowiedział je ówczesny minister wojny Sebastiani, w odpowiedzi na gwałtowne interpelacje w powodu zajęcia Warszawy przez Paszkiewicza. Historia mu tego nie darowała. Za te cztery słowa Sebastiani pozostawił we Francji brzydkie nazwisko. Minęło lat 32, gdy Napoleon III (którego charakter nie był cięższy od jego poprzednika, króla-mieszczucha, króla z parasolem, Ludwika-Filipa), pomimo niedawnej zwycięskiej

wojny krymskiej, zapalał chęcią ponownego dokuczenia Rosji. Poufne wiadomości o przygotowującym się powstaniu styczniowym spodobały mu się wielce. Obiecał zatem cichcem, że Francja ewentualnie dopomoże. Ale jak? Jaką drogą?... Był źle poinformowany; wyobrażał sobie, że w razie potrzeby Prusy chętnie przepuszczą przez swoje terytorium francuskie pułki. Oczywiście, że Bismark nie ujawniał mu zawczasu swoich projektów, polegających na rychłym zajęciu duńskiego Szlezwigu, a następnie na politycznym podbiciu z bronią w rękę, Austrii. Dla tych zamierzeń zapewnienie sobie cesarskiej życzliwości było konieczne. Ale nawet bez tego, absurdem było liczyć na współdziałania takiego polakożercy, jak Bismark, który copperswam w tym czasie jeszcze skrywał bacznie swą nienawiść do polskiego narodu. Dość, że jak co do czego przyszło, Bismark niespodzianie odmówił. Napoleon III zmartwił się, ale był bezradny. Dobrze jeszcze, że udało mu się «przeszwarcować» do Polski trochę broni, bo inaczej «usmirenienie polskawo miatieża» byłoby od samego początku, pospolitą, jednostronną rzezią. I tu nadmienić należy, że tak jak w roku 1830, cały naród francuski był z nami. Słynne, a impertynenckie «Vive la Pologne, monsieur!» rzucone przez Karola Floquet'a w twarz «dostojnego gościa» Aleksandra II, zostało przyjęte jednomyślnymi oklaskami.

I to mają być precedensy? Ambitny Napoleon I, wiedziony jedynie swym snem o wszechwładzy, nielegalny, oportunistyczny, a łaknący uznania Ludwik-Filip, źle poinformowany, systematycznie oszukiwany przez Bismarka aż go samego zapędził w zasadzkę, Napoleon III? Tak wyglądały wów-

czas rządu Francji. A nasze? W sensie państwowym i międzynarodowym nie było ich poprostu, więc nie było też i żadnych zobowiązań traktatowych.

Przyszła klęska 1870 roku i Francja została odsunięta od spraw europejskich, szukając dla siebie dróg, do Madagaskaru, Senegalu, Tonkinu. Czy nie powinno to nam dać do myślenia, że wraz z tym europejskim zmierzchem Francji zastygły jednocześnie i nasze nadzieje? Myślę o nadziejach konkretnych, bo pewnie, że w głębi serca zachowaliśmy jakąś mistykę wiary, że gdzieś tam, kiedyś, cud się stanie. Dowodem tego, że rozpoczął się u nas okres t. zw. pozytywizmu, który nie był niczym innym, jak kompromisem patriotyzmu z twardą rzeczywistością. Ruch ten znalazł zwłaszcza swe usprawiedliwienie w chwili, kiedy Francja poczęła się zbliżać do Rosji. Dla idealistów, zarówno w Warszawie, jak i w Paryżu ten sojusz był czymś potwornym. Ale z kimże, proszę bardzo, odosobniona naprzeciwko potężnych Niemiec Francja miała zawierać sojusz, w czasie kiedy jej stosunki z Anglią dalekie jeszcze były od serdeczności? Bądźmy bezstronni: sojusz przysłużył się choćby w pierwszym miesiącu wojny, ułatwił Marne, tak jak my obecnie w pierwszym miesiącu wojny ułatwiliśmy francusko-angielską mobilizację i koncentrację. Mówi się jeszcze potocznie, że sojusz ten nas skrzywdził, gdyż uniemożliwił stworzenie w sierpniu 1914 roku odrębnej armii polskiej. Nie chciano obrażać Cara. Ta przeszkoda dyplomatyczna istotnie istniała, ale była zgoła teoretyczna. I tak nie starczyłoby rekruta, nawet na zmontowanie jednego pułku, gdyż przed rokiem 1914 nasza emigracja robotnicza

we Francji była jeszcze liczebnie znikoma. Dopiero w 1917 roku, kiedy Ameryka wstąpiła do wojny, Paderewski, dzięki swej wiekopomnej działalności, dopiął wielkiego celu przez zaciągnięcie zaoceanowych rodaków pod narodowe sztandary. Tym lepiej oczywiście, że moment ten zbiegł się z upadkiem caratu. Pozostaje ostatnia faza dyplomatyczna, która poprzedziła późniejsze podpisanie sojuszu francusko-polskiego: Traktat Wersalski. Ileż skarg, w zupełności zresztą usprawiedliwionych, usłyszałem na ten temat! «Potraktowano nas po macoszemu, dano nam podłe granice; nie przyznano suwerenności nad Gdańskiem; zamiast oddać nam poprostu Śląsk po Odrę, narażono nas tam na skomplikowane szacherki plebiscytowe germanizmu; nie zrozumiano konieczności zapewnienia nam kontroli, chociażby gospodarczej i strategicznej nad Prusami Wschodnimi. W ten sposób powstał jakiś kurytarzowy dziwoląg, który nas zmusił do ryzykownej ekwilibrystyki».

To wszystko prawda, ale kto nas tak potraktował? Francja? Można odgrzebać w archiwach tutejszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych francuskie projekty, opracowane przez najbliższego współpracownika p. Jerzego Clemenceau, p. Andrzeja Tardieu. Znajdziecie tam wszystko, i Gdańsk i Odrę i kontrolę Prus Wschodnich. Któż ten plan zasabotował? Anglia? Nawet nie: p. Lloyd George! Wolno to dzisiaj pisać, nie urażając ani trochę żadnego Anglika, gdyż przyznają oni wszyscy z właściwą im sportową lojalnością, że polityka ich ówczesnego premiera była błędną, że nosiła w sobie odrazu zasiew ponownego konfliktu. Nie czuł on do nas żadnej urazy, nie znał

nas wcale. Ale wyobrażał sobie krótkowzrocznie, że Niemcy leżą conajmniej na sto lat, że jedynym nowym niebezpieczeństwem jest rozpanoszenie się Francji na kontygentie. Chciał więc Polski jaknajmniej, jaknajbardziej skrepowanej międzynarodową kontrolą Gdańska, przypuszczając, że ta pośrednia droga osłabi naturalną sojuszniczkę — Francję.

Widzicie więc, że i Traktat Wersalski nie może stanowić żadnego precedensu. Francja nie natknęła się na tę samą przeszkodę, gdyż Anglia nie tylko przejrzała, ale stała się naszą sojuszniczką, co znowu jest wydarzeniem bez precedensu w dziejach Europy. Zupełnie inaczej będzie wyglądał traktat, podpisany w roku 194... w mieście, dajmy na to Poczdamie.

ARMIA

Nie sposób odkrywać Francję podczas wojny, nie poświęcając rozdziału jej armii, ale temat jest tak rozległy, że wypowiadając się na kilku stronicach, jest się niechybnie narażonym, albo na ujęcie powierzchowne i oklepane, albo na odwołanie paru tylko fragmentów. Już wolę to ostatnie. Nie bez żalu poprzestanę na tym, co mi najbardziej trafiło do serca w tej armii, do której się zbliżyłem w piekle i bodajże śmiertelniejszej jeszcze nudzie (bo i tak już bywało przez długie miesiące 25 lat temu) zachodniego frontu, a również w bardziej romantycznych bojach pod słońcem afrykańskim, w korpusie salonickim, wreszcie w skwarnych, jak sen upiorny, pustyniach syryjskiego Dżebel Druzu.

A więc powiem po pierwsze:

«Żołnierz francuski jest wytrwały fizycznie i mocny moralnie nie tylko w ataku ale nawet w bezczynności, nie tylko w powodzeniu, ale nawet w długim odwrocie».

Po drugie:

«Granica między armią, a resztą społeczeństwa, między obywatelami w mundurze, a tymi, którzy narazie są jeszcze w cywilu, zaciera się coraz bardziej».

Co się tyczy pierwszego punktu, to powołam się

na niewątpliwy autorytet, który przegrał pierwszą, kapitalną dla dalszych losów wojny bitwę pod Marną — generała Klücka. Gdy tylko skończyła się wielka wojna, udałem się na Zurich, a następnie poprzez nieprawdopodobny bezład demobilizacyjny do Berlina. Nie nęcił mnie sadystyczny apetyt przyjrzenia się zmiażdżonemu narodowi i skruszonym ambicjom. Korciła mnie natomiast najbardziej uparta od kilku lat myśl, dlaczego von Klück w wrześniu 1914 roku, nie wszedł do Paryża, kiedy się zdawało, że już, już, dlaczego według jego zdania (wysuwano wówczas dziesiątki sprzecznych tłumaczeń) Francja zwyciężyła nad Marną? Od kilku lat już von Klück żył w niełasce na uboczu. Miał czas na rozmyślanie. Odnalazłem go. Przyjął mnie ze smętną godnością. Na pierwsze pytanie odpowiedział mi klasycznie argumentem napoleońskim, że nie wolno wejść do wielkiego miasta, póki się uprzednio nie oskrzydli i nie opanuje sił zbrojnych przeciwnika. Być może, że w danym wypadku Napoleon niezupełnie pasował, gdyż zajęcie Paryża miałyby nieobliczalne konsekwencje psychologiczne i polityczne. Po tym akademickim wstępie już nie spodziewałem się niczego nowego. Pomyślałem, że powie mi prawdopodobnie, iż manewr oskrzydający, w kierunku południowo-wschodnim nadmiernie rozciągnął mu front, że potworzyły się luki, że wówczas został zaskoczony niespodzianką tej pierwszej a prymitywnej motoryzacji, jaką było rzucenie w ogień przy pomocy paryskich taksówek, dwóch świeżych dywizyj z Algieru. Słowem, rzeczy znane. Otóż nie. Po chwili milczenia generał von Klück tak odpowiedział na moje drugie pytanie:

«Zwyciężył mnie francuski szeregowiec. Nie oznacza to bynajmniej, abym obniżał zasługi dowództwa. Jest to sztuka nielada przeprowadzić metodycznie i w nader szybkim tempie odwrót 700 tysięcznej armii, przez szczegółowe obliczenia fatalnych zatorów na szosach i liniach kolejowych, nie przerywając nigdy łączności. Ale to wszystko, kiedy się docenia wiedzę techniczną przeciwnika, można było ewentualnie przewidzieć. Z tym się też liczyłem, mając oczywiście nadzieję, że może być gorzej. Ale czego absolutnie nie sposób było przewidzieć to, że żołnierz, który na poły umierał ze zmęczenia, będzie w stanie na rozkaz i sygnał trąbki, nietylko wryć się w ziemię, ale przejść do natychmiastowego ataku. W żadnych szkolnych kalkulacjach tego rodzaju możliwość nie była nigdy wzięta pod uwagę».

Po dwudziestu dwu latach słowa te są jeszcze często cytowane przez wojskowych pisarzy. Cóż do nich dodać? Chyba to, że na pierwszy rzut oka, a raczej na pierwsze nastawienie ucha, podobnej odporności wcale się nie zauważa. Przeciwnie, możnaby wynieść wrażenie, że każdy żołnierz ma już tego po kołnierzu i że pragnie jaknajprędzej do domu. Tej pomyłki akustycznej należy się bacznie wystrzegać, gdyż każdy Francuz, cywil, a tym bardziej gdy jest w wojsku, lubi mruzczeć, warczeć, skrzeczeć. Bezwiednie przejął spuściznę po napoleońskich grenadierach, tych «Grogards», czyli gderaczach, którzy wciąż urągając, szli jednak pod Piramidy, lub do Moskwy. Jest sposób na to, żeby się dowiedzieć, co nowocześni «gderacze» naprawdę myślą. Trzeba mówić tak jak oni, a nawet trochę przesolić. Niedawno w pocią-

gu zainteresował mnie rozmowny urlopnik, mówiąc: «Życie byłoby znośne, gdyby nie «adjudant» (starszy wachmistrz), prawdziwa «gueule de vache». W wolnym tłumaczeniu «krowia mord» oznacza mniej więcej «kawał drania». Zgodziłem się chętnie dosypując, że oni wszyscy tacy sami, że lubią się znęcać nad biednym szeregowcem drugiej klasy. Spojrzał na mnie spodełba, prawie, że się obraził. «Tu już Pan coś buja — rzekł — nie nasz w każdym razie. Jest może trochę nieznośny w «cantonement», podczas odpoczynku, ale w gruncie rzeczy porządny chłop, a na froncie jaki zuch! Przydałoby się panu dobrodziejowi, żeby go wziął w swoje obroty!»

Broń Boże też powiedzieć, że właściwie to żadna wojna, że my starsi widzieliśmy coś innego. Żołnierz 1940 roku wnet się zaperzy i będzie miał rację, gdyż mróz albo błoto lub woda w rowach strzeleckich jeszcze bodaj bardziej dokuczają, kiedy się nie strzela. To tak jak ból zębów, który najwięcej uwiera, gdy się nic nie robi. Ale niechże jakaś litościwa dama zacznie się rozczulać nad ciężką niedolą zmobilizowanego, to się narazi na tę sarkastyczną odpowiedź: «A my mamy wołowinę dwa razy dziennie i kawy ile wlezie i nic nas to nie kosztuje»

Co się zaś tyczy tego wzajemnego przetapiania, czy też zjednoczenia życia cywilnego z wojskiem, to objaw ten nastąpił niedawno, w moich oczach. Pomimo wprowadzenia powszechnej służby wojskowej po klęsce 1870 roku, armia, aż do ostatnich lat, uprzedzających wielką wojnę, zachowała dawniejszy styl zawodowy, wyodrębniający się od reszty społeczeństwa. Istniały dynastie, z ojca na dziada, oficerów kawalerii, czy też strzel-

ców alpejskich. Wszędzie dzieci lubią bawić się w wojsko, ale tu w pewnych rodzinach zabawa była na serio. O ośmioletnim chłopcu ojciec mówił, że będzie dragonem i stawał się nim istotnie. Bił od tych ludzi pewien chłód kastowej dumy, który raził cokolwiek, tak jak irytuje zarozumiałość mierniejszych arystokratów, chełpiących się wyczynami swych przodków. Byli to przecież synowie tych, którzy w roku 1870 ratowali honor francuskiego oręża, szarżując pod Reichsoffen, lub w tragicznych dniach września próbując przerwać stalowe kolisko Sedanu. O nich Wilhelm I patrząc się ze wzgórza powiedział po francusku do Bismarka: «Ah, les braves gens!» Pomylił się zresztą, gdyż nie chciał napewno powiedzieć: «Co za porządni ludzie» lecz prosto «bohaterowie». Istniało bowiem jeszcze wtedy w Niemczech poczucie rycerskości. Nawiasem mówiąc, podczas naszego tragicznego września było takich szarż sedańskich bez liku. Zapamiętała je historia i natchnęła one wieszczów.

Poza tymi dynastiami o nieco romantycznym podłożu, spotykałem też, za studenckich czasów, tych, których nęciła wyższa wiedza wojskowa, którzy już na ławach szkolnych marzyli o dowództwie. Ci również trzymali się na uboczu od swych rówieśników, ale nie dla tych samych powodów. Byli pochłonięci usilną uracą, gdyż nie jest to byle co przejść przez najeżone przeszkodami konkursy Politechniki lub Szkoły Saperskiej.

Istnieją jeszcze dzisiaj te dynastie i kasty. Tym lepiej gdyż bez tradycji i wiedzy nie może być dobrego wojska, ale nie rzucają się już tak w oczy, nie wyodrębniają się, zostały one wchłonię-

te przez masy rezerwistów, oderwanych od powszedniego cywilnego życia. Nie można już dzisiaj powiedzieć, że armia jest związana ze społeczeństwem, bo i ona sama jest tym społeczeństwem, jednoczącym pod wspólnym mundurem wszystkie zawody, klasy, odcienia myśli politycznej. Znany pisarz i wojenny korespondent Roland Dorgelès bardzo trafnie opisał takie dwie typowe postacie: lewicowego nauczyciela ludowego z odległej prowincji i księdza-wikarego z paryskiego przedmieścia. Obaj otrzymali niedawno na froncie szlify kapitańskie i Krzyże Walecznych za niebezpieczne i nader udane raidy patrolowe. Inny znowu, który sprzedawał skarpetki i szelki w małomiejskim sklepiku, okazał się istnym Kmicicem, genialnym zawadząką, i co lepsze rozważnym, nie wariatem narażającym po głupiemu sobie i ludzi. Gdyż ci umundurowani cywile są nie tylko dobrymi, posłusznymi żołnierzami, ale posiadają poza tym cenną w wojsku zaletę, jaką jest indywidualny instynkt samozachowawczy. Nikt ich tego specjalnie nie uczył, ale każdy ma własny rozum, umie wykorzystać, czy to lej, czy choćby miedzę, aby nie dać się trzepnąć przedwcześnie, kiedy tam dopiero na skraju polany czeka go prawdziwa robotą.

Ważnym jest, że uprawianie takiego «sportu» nie odrywa psychicznie żołnierza-obywatela od jego ogniska domowego, od jego dawniejszej pracy. W Niemczech po uprzedniej klęsce, ochrzczono bluźnierczo wojnę «szkołą próżniactwa», która zdemoralizowała miliony, wywołując falę nieróbstwa, wśród ludzi, dla których ich dawniejsze życie stało się zupełnie obce. Tu nic podobnego się nie zauważyło, zarówno wtedy, jak i dzi-

siaj. Nauczyciel będzie ponownie nauczycielem, ksiądz księdzem, a sklepikarz sklepikarzem. Ten «bistro» w mundurze, który za swym bufetem rozlewa kawę i wino, żartując ze swymi klientami, to urlopnik, który w ten sposób spędza chętnie wolne chwile. Węglarz, który mi wesoło wniósł worek na górę, jest poza tym kapralem na przedpolu linii Maginot. Jutro inni cywile zostaną powołani i pójdą sobie normalnie, bez zbędnych słów, inni na chwilę powrócą i znowu pojedą. Armia i lud tak się już przemieszały, że się nie dostrzega różnic i rozgraniczeń.

KOBIETY

Najrzykowniej jest pisać o kobietach i to zdaje się we wszystkich krajach. Byłem niejednokrotnie w Anglii, napisałem książkę o Anglii, ale nie wspominałem nigdy o angielskich niewiastach, bo skąd mógłbym wiedzieć? Mężczyzn spotykałem w klubie, na zebraniach zawodowych lub politycznych, w ministerstwach, w redakcjach, w przedsiębiorstwach przemysłowych i kopalnianych, w portach, na okrętach handlowych i wojennych, a kobiety? Cóż może dać wieczór spędzony w jakimś tanecznym «Monseigneur»? Chyba tylko tak głębokie zaopiniowanie, że Angielka, nawet skromna, w sukience wieczorowej, zmienia się do niepoznania, w porównaniu do tejże w popołudniowym kapeluszu. To chyba nie wystarczy. Pewnie, że bywałem też na przyjęciach towarzyskich. Są one przecież z reguły zmanierowane. Zarówno pani domu jak i jej goście muszą trzymać fason. Prawdziwe kulisy życia domowego są szczelnie zaparawanione. Znam kolegów po

piórze, których nie dręczyły podobne skrupuły. Jeden z nich mieszkał w hotelu londyńskim, gdzie portier, w nielegalnych godzinach, udzielał przygodnym gościom trunki udając (bo wtedy wolno), że są stałymi lokatorami. Zapatrzył się w godzinach poteatralnych na niewiastę w gronostajach i diamentowym diademie, która przez godzinę sztywna i dostojna zażyła dwadzieścia whisky na bosaka, t. j. bez wody sodowej. Rozgalopował się wnet na całego, zapewniając kategorycznie swych czytelników, że głównym zajęciem angielskiej kobiety jest umiejętne spożywanie wielkiej ilości alkoholu.

A cóż może naprzykład powiedzieć przyjezdny, ożywiony chociażby najlepszymi intencjami o Polce? Jakże się ma dowiedzieć, czy Polka jest gospodarna i czy dobrze wychowuje dzieci? Liczba osób, które się spotyka w lokalach publicznych, na premierach, w łóżach konkursów hipicznych, czy wyścigów jest stosunkowo znikoma. Toute Varsovie? Tout Paris? W pierwszym wypadku może dwa tysiące osób, w drugim prawdopodobnie jakieś dziesięć: jak w karuzelu poznaje się wszędzie te same twarze i zawsze się ma do czynienia ze sztuczną inscenizacją. Żeby coś zrozumieć, trzeba by spędzić nie tylko lato, ale także i zimę w jakimś pomniejszonym dworze, gdzie życie idzie cokolwiek po grudzie. Trzeba by pozyskać zaufanie chłopskiej zagrody.

Ten przydługi wstęp ma sens ostrzeżenia, że nie tak nie kwasi stosunków między narodami, jak powierzchowne oceny kobiety. Mężczyzna zniesie ostatecznie niesprawiedliwe o sobie samym sądy, ale nie daruje spaczonoego poglądu o

towarzyszce swego życia; ta chwalebna galanteria jest objawem międzynarodowym.

A więc Francuzka, gdyż wszak o nią nam dzisiaj chodzi, to nie jest ta niewiasta, którą możecie ujrzeć w t. zw. wielkich magazynach, grzebiącą się godzinami w podniecających okazjach, tak jak inne, na całym świecie zresztą, lub grającą dla zabicia czasu, w bridge'a ku udręce swego partnera. Nie spotkacie jej w kawiarni, a zwłaszcza na Polach Elizejskich, zkolonizowanych od paru lat przez żydowsko-rosyjskich hochsztaplerów, przeszkolonych uprzednio w Berlinie. Tak jest w Paryżu, a tym bardziej na prowincji. To nie jest jakiś przesąd, ani dlatego, że niby nie wypada, jak naprzykład w Hiszpanii, gdzie się niewiasty ukrywa jak za maurytańskich czasów. Przyczyna jest prosta. Poza rannym spacerem z dziećmi — gdy jeszcze nie idą do szkoły — w najbliższym ogrodzie, kobiety siedzą w domu, bo nie mają pieniędzy. To zakrawa na paradoks, ale ten arcybogaty kraj indywidualnie jest niezamożny. Stąd też tryb życia cichy, przepojony tylko drobnymi radościami: dobra książka wypożyczona z czytelnicy, raz na tydzień tanie dzielnicowe kino, sukienka, którą się uszyło dla córeczki, naturalnie radio, dobre stopnie przyniesione przez chłopca ze szkoły, wreszcie przez jedenaście miesięcy marzenia o przyszłych wakacjach na które się skrętnie odkłada. Nie brak wdzięku w tej zacisznej monotonji, gdzie każda drobnostka cieszy i bawi, chociażby lepszy obiad w niedzielę, lub butelka dobrego wina, gałązka mimozy przyniesiona przez poczciwego teścia-emeryta. Oto egzystencja ogromnej większości Francuzek, tych nawet, które bez fanfaronady przeszły przez poważniej-

sze studia uniwersyteckie. Francuzki nie bogate czują się jakoś we właściwszym żywiole, są wtedy najmiłsze i przeważnie tanim bardzo kosztem, estetyczne. Jest to także prawdziwe, że Francuzka dostosowuje się z największą łatwością do niefortunnie zmienionej sytuacji, a takich wypadków było moc w czasie ciężkiego kryzysu gospodarczego. Na pociechę mężowi, który wpadł w tarapaty udaje, że ją to bawi. Na wesoło przenosi się z wielkiego apartamentu do małego mieszkanka odrzucając jakby z ulgą tyranie obowiązków towarzyskich i kłopotów ze służbą, oraz wszelkie snobistyczne troski. Zapewnia, że chodzenie na targ jest dla niej przyjemną rozrywką i otucha wstępuje do małego domku, do którego chętniej, proszę mi wierzyć, się zachodzi, niż dawniej, kiedy drzwi otwierał uroczysty kamerdyner, a salon był przepelniony sztywnymi gośćmi, wzajemnie sobie nieżyczliwymi i do których pani domu nie czuła najmniejszej sympatii.

Mówi się często, że Francuzki nie lubią dzieci i że nie chodzą do kościoła. Słyszałem ten zarzut niejednokrotnie, zwłaszcza naturalnie w krajach katolickich. Co do dzieci, to istnieją statystyki. Istotnie nie ma we Francji przyrostu ludności i nawet w roku 1938 był lekki niedobór, co mocno zaalarmowało opinię zmuszając nareszcie rząd do śmiałych prawodawczych zarządzeń. Cyfry są cyframi i trudno się z nimi spierać, a przecież, gdy się rozejrzemy wokół, gdy rozpatrzemy setki poszczególnych wypadków, to musimy stwierdzić, że w Paryżu jest tak mniej więcej jak u nas. Tyłek jest proporcjonalnie oczywiście, dzieci co i w Warszawie. Znam we Francji kilka małżeństw bezdzietnych, ale było to dla nich przyczyną

szczerego zmartwienia. Jedna z moich koleżanek z lat studenckich jeździła nawet do Lourdes, spodziewając się cudu, inna, dobra znajoma, obesła wszystkich najlepszych specjalistów. Skończyło się w obu wypadkach na zaadoptowaniu sierot, aby jednak było dziecko w domu, gdyż ta potrzeba pielęgnowania i wychowywania małżeństwa jest u Francuzki tak samo mocna, jak u każdej innej normalnej kobiety. Skąd więc ta ujemna statystyka? Otóż za mało jest po wsiach naprawdę licznych rodzin, które stanowią o przyroście ludności. Gdyby nie nasza wieś, polski wykres demograficzny również przedstawiałby się niepięknie. Nie trzeba bowiem zapominać, że konieczna jest przeciętna czworga dzieci w małżeństwie, aby powiększała się ludność, gdyż nie wszystkie dzieci niestety dorastają i trzeba się liczyć z deficytem starokawalerskim i staropanieńskim. Troje plus minus w małżeństwie? To chyba jeszcze nie dowodzi, żeby instynkty macierzyńskie we Francji były zdeprawowane?

Co zaś się tyczy nagminnych opowieści, że Francuzki są niereligijne, to pozwólcie mi powiedzieć, że są to poprostu androny. Ani rewolucja, ani masoneria, ani przejściowe tendencje «klechożercze» przelotnych rządów sekciarskich nie potrafiły wyplenić z serca kobiety francuskiej jej uczuć i odwiecznych tendencji. Proszę zająć rano do kościoła i zobaczyć ile ludzi, ile kobiet poświęca godzinę snu, aby przed pracą się pomodlić. Gdy w końcu września 1939 Kardynał Verdier odprawił na chwałę Polski mszę o 8-ej rano w bazylice św. Piotra na wierzchołku Montmartru ścisk był tak wielki, że na kwadrans przed początkiem nie można już się było wtłoczyć. Pew-

nie, że Polska znajdowała się wówczas na proscenium rozpoczynającej się światowej tragedii, ale to kościół ściągnął tłumy wiernych, kobiet, wpatrzonych w Hostię, które duszą całą pragnęły wzniesć modły o zmartwychwstanie krzyżowanego narodu.

Niereligijne francuskie kobiety? Wszak w najbiedniejszym robotniczym lub włościańskim domu chrzest i pierwsza Komunia dziecka są, po ślubie, największymi w życiu świętami rodzinnymi, na które się wszystkich sprasza, na które się niczego nie szczędzi.

Już dwa lata temu Kardynał-Arcybiskup Verdier mógł poświęcić setny kościół, zbudowany po uprzedniej wojnie w podmiejskich paryskich osiedlach. Kto je ufundował? Nie rząd, nie gminy, ale niemal wyłącznie kobiety, które ciułały i kwetowały nietylko dlatego, żeby dzieciom było bliżej, ale głównie z powodu, że wstyd i przykro mieszkać w miasteczku, pozbawionym kościoła i na Anioł Pański dzwonów.

Dzisiaj jest wojna, zmobilizowano 5 milionów mężczyzn. Wybiła dla kobiety ważka godzina. Musi pokazać co potrafi. Otóż okazuje się, że potrafi prawie wszystko, chyba tylko, że nie może być w zastępstwie męża adwokatem albo lekarzem, jeżeli nie posiada odpowiedniego dyplomu. W mieście prowadzi dalej sklep, handel, u kierownicy małej ciężarówki zwozi codziennie towar z hal. Zastępuje męża konduktora autobusu, lub urzędnika bankowego. W miasteczku, po wyjeździe męża nie zamknęła garażu, po kilku miesiącach nauczyła się już trochę mechaniki. Sama jedna potrafi naprawić nie jakąś tam przedziurawioną kieszkę, ale nawet rozluźnione lub przetarte

sprzęgło. Na wsi kieruje całą fermą, orze, sieje przy pomocy malców i starszych. Wreszcie fabryka ściąga coraz więcej i więcej kobiet, które się nauczyły ze zadziwiającą szybkością swego nowego rzemiosła, tocząc pociski, lub oskrzydając samoloty. Najróżniejsze kobiety garną się raźnie do wojennego przemysłu: modystka bez klienteli i służąca przychodnia, która już nie ma gdzie przychodzić, aktorka bez teatru i żona adwokata, która nie może wszak wyżyć za dwanaście franków dziennie mobilizacyjnej zapomogi. Czym jest armia dla mężczyzn, tym fabryka zbrojeń, fabryka zwycięstwa dla francuskich kobiet.

SKĄPSTWO I OSCZĘDNOŚĆ

Często słyszałem, że Francuzi są skąpi. Mówią to z przekąsem albo ludzie żyjący nad stan, co ich wciąga stale w kłopoty pieniężne, albo też obywatele państw, które nie umieją stworzyć rodzinnego kapitału i są od obcych zależne. Dla pierwszych Francja jest drażniącym wyrzutem, dla drugich przedmiotem zawiści. Tak się składa, że jedni i drudzy są naszymi sąsiadami. Dawniejsi Moskale, którzy tak szastali ongi nieniędzmi w Paryżu i na Rivierze, mawiali chętnie o «Francuzikach», że są to małostkowe sknery. Pocieszny stosunek do kraju, który się nabiło na 22 miliardy złotych franków! Powiedzą to jeszcze dzisiaj «bywszyje», kawalergardy, nawet, szofejując taksówką. Szerokie natury! Francuzi ich nie mogą «zrozumieć», tak jak nie byli w stanie ocenić pięknego gestu tego eleganckiego birbanta, który chciał rozbić lustro w wytwornej restauracji. «Nie pajmut» — zaopinował jego towarzysz, rozejrzawszy się pogardliwie dookoła. — Niemcy również mówili o Francuzach, że są skąpi, bo ich złotc zalewała, że Francja pomimo olbrzymich strat wojennych i niewypłaconych odszkodowań potrafiła uratować swoje złoto, kiedy Rzesza musiała się zapożyczać na wszystkie strony.

Nie! Skąpstwo to zupełnie co innego. Jest to indywidualna choroba, zбочenie, mania, która nie może stanowić cechy narodowej, aczkolwiek utarło się, że powszechnie przypisuje się tę skłonność Bułgarom i Szkotom, wzbogacając folklor setkami, na ten temat, mniej lub więcej autentycznych anegdot. Ostatnio jeszcze jakoby, dnia 29 lutego, odprawiono w Szkocji ogromną ilość ślubów, a to dlatego, aby obchodzić kosztowne rocznice tylko raz na cztery lata.

Nie bardzo w to wierzę. W każdym kraju od czasu do czasu znajduje się nędzarza, który umarł z głodu na barłogu, wyfaszerowanym krociowymi sumami. To jest prawdziwy skąpiec, tak jak nim był ten przebogaty polski arystokrata, któremu w ścisku warszawskiego tramwaju wyciągnięto z kieszeni największy szafir na świecie, wartości kilkudziesięciu milionów. Być może, że jest to nałóg rodzinny, gdyż syn i synowa onegoż przychodzili do skromnej Astorii, aby się podzielić jednym t. zw. urzędowym obiadem, który kosztował grosze i był przewidziany z nakazu władzy dla inteligencji znajdującej się w skrajnym niedostatku. Takie dziwolągi można też niewątpliwie wyszperać we Francji. Ostatnio otrzymałem list od wielkiej damy, który był napisany ...do innej. Nie była to pomyłka. Odwróciwszy kartkę znalazłem kilka słów pod moim adresem. Dowiedziałem się, że ta bogata matrona za nic nie chce kupować papieru i załatwia swą korespondencję na listach, które sama otrzymuje.

Kiedy się zarzuca skąpstwo jednostkom lub narodom, to oczywiście dlatego, że się czuje do nich jakiś żal osobisty czy polityczny. Pierwszy Bismark powiedział ze złością w 1873 roku: «Nie

przypuszczałem, że ci Francuzi są takie sknery!»
A wiecie dlaczego? Bo był wściekły, że mu Francja, w przeciągu półtora roku za ledwie, wypłaciła 5 miliardów kontrybucji posyłając pociągi za pociągami wypełnione złotem! Jasne, że był łasy na te pieniądze, ale suma wydawała się na owe czasy tak zawrotna, że sobie wyobrażał, iż Francja będzie pracować jak niewolnik przez długie lata dla Niemiec, które w ten sposób zachowają swą hipotekę na tym kraju, okupując wojskowo jego pogranicze. Opierał się w swych kalkulacjach na cyfrach rezerw banku Francji i nie przypuszczał wcale, żeby w «bas de laine» (wełniana pończocha, symbolizująca drobne oszczędności), poskrywano aż takie masy złotych ludwików. Nie skąpstwo, ale oszczędność wyzwoliły Francję z pod niemieckiej kurateli, gdyż kontrakty międzynarodowe były jeszcze wtedy prawomocne i Bismark kwitując z wypłaconej kontrybucji, musiał jednocześnie skwitować, że swych planów trzymania Francji pod jarzmem.

«Oszczędność francuska» stała się od kilkudziesięciu lat najbardziej wyswiechtanym leit-motivem stołecznego, a zwłaszcza prowincjonalnego krasomówstwa. Nie ma niedzieli, aby na jakimś bankiecie czy sejmiku parafiańskim nie sławiono tej odwiecznej cnoty francuskiego narodu». Odwieczna cnota? Bynajmniej. To jest właśnie ciekawe, że nie potrzeba było wieków, aby przenieść do gruntu dawniejszy temperament francuski i stworzyć te zasoby prywatnych kapitałów, które dają państwu siłę w czasie pokojowym, a tym bardziej podczas wojny. Wręcz przeciwnie, przez wieki każdy Francuz był rozrzutniejszy od najbardziej rozreklamowanych polskich lekkoduchów. Naj-

lepsi królowie francuscy wpadali w długi. Tym lepiej dla potomności, bo gdyby Franciszek I i Ludwik XIV liczyli się byli z groszem, to nie mielibyśmy dzisiaj wspaniałych pałaców w Fontainebleau i Wersalu. Gdyby Filip Piękny, udzielny książę burgundzki, nie miotał hojnie pieniędzmi, to francuski dobytek artystyczny nie wzbogaciłby się najpiękniejszą kolekcją flamandzkich arasów. Za przykładem królów poszła szlachta i dlatego dzisiaj francuski pejzaż jest zaludniony przez tak niezliczoną ilość pięknych zamków, dlatego z lat dawnych pozostała taka masa dostojnych sprzętów, tkanin, porcelan i brązów, które zawędrowały do domów prywatnych i do dwustu kilkudziesięciu prowincjonalnych muzeów.

Z góry na dół szedł ten rozmach wydatków. Szlachcie naśladował króla, a szlachetka szlachcica. Bez liku było takich, jak Cyrano de Bergerac, opisany przez Edmunda Rostand, którzy, chcąc zadziwić otoczenie, rzucali sakwę złota kuglarzom i muzykantom, a potem wracali do domu dumnie, lecz bez grosza. Wielka rewolucja 1789 roku nie zmieniła tych szczodrych obyczajów. Naodwrot. Francja, która na wielu polach przodowała — pierwsza też wymyśliła — inflację! Tak jest, rewolucja francuska poczęła drukować na coraz to poważniejsze cyfry t. zw. asygnaty — te praszczury polskiej czy niemieckiej marki — które, po kilku latach poszły do śmietnika. Oczywiście, że takie metody finansowe nie mogły rozbudzić nieznanego jeszcze instynktu oszczędności.

Stało się to dopiero w 1833 roku. Wówczas naraż nastąpił zadziwiający przewrót we francuskim charakterze. Po rewolucji lipcowej 1830 roku, po wzburzeniu, spowodowanym przez nasze powstanie

listopadowe, Francja, zdawało się, weszła w dłuższy okres spokoju. Minister Ludwika Filipa, Guizot, po raz pierwszy uporządkował budżet państwowy, zwracając się do ludności, powiedział: «A teraz wzbogacajcie się, pracując i oszczędzając!» Słowa te, które dziś jeszcze są przysłowiowe, zostały w lot podchwyczone. Ciułanie, odkładanie — a odkładało się nie jakieś asygnaty, lecz złoto — stały się modne na wszystkich szczeblach społeczeństwa. Król dawał przykład, przechadzając się pieszo z parasolem pod pachą i wprowadzając, powszechnie dotąd pogardzane, kartofle do dworskiego menu. Francuzi nauczyli się raptem obchodzić z pieniędzmi, czego im, patrząc się w lustro, szczerze zazdrościć.

To, co było, być może, sportem za Ludwika Filipa, kiedy emigrant polski mógł wyżyć przyzwoicie za 45 franków miesięcznie państwowej zapomogi, stało się koniecznością, pod berłem pp. Emila Loubet, czy Alberta Lebrun. Jak już wspomniałem w poprzednim rozdziale, pisząc o kobietach, ogromna większość Francuzów zmuszona jest żyć skromnie. Bez ścisłego ładu pieniężnego miliony rodzin urzędniczych pod koniec miesiąca, a robotniczych pod koniec tygodnia, znalazłyby się w trudnościach. A z tego przeciętny Francuz robi sobie wielki dramat. Wzięcie czegokolwiek na kredyt uważa za początek upadku, a odesłanie inkasenta z niezapłaconym rachunkiem za okropną kompromitację. Gdy już koniecznie musi pójść do lombardu, to nastawia kołnierz od paltła, zawija sobie twarz szalikiem, naciska kapelusz na oczy, aby, broń Boże, ktoś go nie poznał w tej hańbiącej pielgrzymce. Urzędnik wolałby trzy dni nie jeść, niż się poniżyć w oczach kasjera, żądając za-

liczki, mimo że wie, iż się jej nigdy nie odmawia. Co kraj, to obyczaj. W Anglii ludzie, mający stałe pobory lub płace, żyją awansem, wystawiają czeki bez pokrycia, które banki honorują, czekając miesiąc, a nawet dwa, zależnie do umowy na uregulowanie. We Francji nie jest to nawet do pomyślenia, za czek bez pokrycia idzie się do kryminału!

Aby uniknąć tych «męczarni», tych zawstydzeń i tych lęków pieniężnych, każda niemal rodzina woli opracować sobie z ołówkiem w ręku ścisły budżet, którego się trzyma następnie co do joty: tyle na mieszkanie, tyle na jedzenie itd., tyle wreszcie na wszelki wypadek. A że te «wszelkie wypadki» przeważnie się nie zdarzają, więc co miesiąc w szufladzie narasta po kilkaset franków; aż wyrośnie z tego domek na wsi i pliczka papierów z kuponami, a z kuponów nowe papiery. Ale ile też trzeba wytrwałości, żeby się odpędzić stoicko od «wszelkich wypadków»! Miało się ochotę powtórzyć ten sympatyczny aperitif, ale nie, bo tego budżet nie przewiduje. Nie ma już miejsc w drugiej klasie, to się poczeka na następny autobus, mimo, że wiatr, bestia, mrozi. Podrożały papiery, to będzie się je liczyć i palić o pięć mniej dziennie. Pończochy podskoczyły o franka, to będzie się je zaraz zdejmować wracając do domu. Podnieśli cenę za elektryczność, to jedna lampka w stołowym najzupełniej wystarczy. W ten sposób strach przed upiorami kłopotów pieniężnych prowadzi ostatecznie jednostki do pewnej zasobności, a tym samym do bogactwa narodu.

Cóż za małostkowa egzystencja, pomyśli zapewne czytelnik. Zgoda, ale na tych małostkach, na tych zrównoważonych budżecikach opiera się nie-

wątpliwie równowaga państwowa. I dodam jeszcze coś, aby tę francuską oszczędność umilić: nie kurczy ona nigdy gwiazdki dla dzieci, ani nawet żarcia dla pieska. Poza tym, niechże u kogoś bliskiego zdarzy się nieszczęście, choroba, operacja, pogrzeb, to właśnie to uchodzi za «wszelki wypadek». Przeciętny Francuz sięgnie wtedy bez wahania do szuflady, pójdzie nieproszony do tego, który ma zmartwienie, i spyta się serdecznie: «Jeżeli ci czegoś potrzeba, to się nie krępuj». I tu widać właśnie, że oszczędność i skąpstwo, to są rzeczy zupełnie do siebie niepodobne.

TO, CO JEST NIEZBĘDNE

Z dwóch poprzednich rozdziałów czytelnik wynioskować może bez racji, że francuska oszczędność zniwelowała życie do najbardziej szarej przeciętności, że wszystko, co nie stanowi artykułu pierwszej potrzeby, zostało w demokratycznym kraju bez króla, dworu i blasku — poświęcone. Ten zwłaszcza, kto poznał tylko przyémiony, wojenny Paryż, mógłby znaleźć potwierdzenie tego przypuszczenia. Otóż tak nie jest. Nie będę się starał wytłomaczyć tej sprzeczności, ale fakt jest faktem, iż Francja pomimo swej budżetowej dyscypliny, pozostaje światową stolicą tego, co w oczach powszednich zjadaczy chleba uchodzi za zbyteczne: wina, mody i sztuki. W tej dziedzinie tylko możnowładztwo nad ekranem wyemigrowało do Hollywoodu. Wszystkie inne przywileje czy monopole zbytku Francja zachowała bez najmniejszego napozór wysiłku. Jest rzeczą ciekawą, że to właśnie najbardziej denerwuje rzeczowych, solidnych, praktycznych Niemców. Tego najbardziej za-

zdroszcza, gdyż nie są w stanie rozgryźć i zrozumieć tych niesamowitych dla nich «imponderabilii». Dlaczego Paryż, mówili mi smętnie Niemcy, a nie Berlin, który się tak stara, aby sobie zjednać światową klientelę estetów i smakoszków? Nie ma na to konkretnej odpowiedzi. Tak jest i to wystarczy.

To też jednym z celów i to nie pomniejszych wojny 1914 roku było metodyczne zniszczenie tej niesprawiedliwej przewagi. Nawiasem mówiąc, dzieje się teraz coś podobnego i u nas. Mistyka niemiecka nie polega tylko na pospolitej grabieży polskiej ziemi, ma ona na celu również, niemożliwą do osiągnięcia przez siłę, likwidację tej przedziwnej duchowej, estetycznej czy towarzyskiej wyższości Polaka nad Niemcem, co mogłem zauważyć na każdym kroku prywatnie i publicznie w Katowicach, Grudziądzu, a nawet w Gdańsku. Słusznie się dzisiaj zauważa, że ich formy techniczne, czy organizacyjne nie stanowią dla samych Niemców dostatecznej pociechy czy kompensaty. Gdaczą, sami w to nie wierząc, o swojej wyższości, ale w gruncie rzeczy ich dzika brutalność jest tylko wynikiem kompleksu niższości w stosunku do ludzi, których nie są w stanie opanować kulturalnie.

Hitleryzm jest obecnie tylko najwłaściwszą kryształizacją odwiecznej germańskiej zawiści. Tak już było 25 lat temu. Gdy Wilhelm II poszedł w bój, to nie tylko przez apetyt na lotaryńską rudę żelazną i chęć otwarcia sobie okna na Anglię przez zajęcie portu Calais. Jak widać z przygotowanych wówczas warunków niemieckiego «dyktatu», które później ogłosił w Berlinie socjalista Kautsky, Wilhelmowi bodaj że bardziej na sercu leżało ob-

darciu Francji z tego, co stanowi jej czar nieuchwytny. Nieuchwytny? Ten głupiec sobie wyobrażał, że go jednak chwyci, stawiając zwyciężonym następujące wymagania:

1. Wydanie Niemcom 200 tysięcy starych beczek dębowych, w których uszlachetnia się koniak. Odstąpienie wszystkich winnic szampańskich, których produkcja poszłaby w świat pod niemiecką etykietą.

2. Zwinięcie wszystkich wielkich damskich domów krawieckich («Haute Couture»), zobowiązując się fabrykowania jedynie seryjnej konfekcyjnej odzieży.

3. Ścisła kontrola i ograniczenie pobytu cudzoziemców we Francji, a zwłaszcza tych, którzy interesują się sztuką.

Gdyby te zarządzenia nie wystarczyły, aby wykraść Francji przodownictwo w rzeczach zbytecznych, stanowiących okrasę życia, to niewątpliwie poszłoby się dalej. Daje nam pod tym względem przedsmak p. Sieburg, pisarz niemiecki, który ongi rozmlaskał się lirycznie nad Francją, ogłaszając książkę pt. «Glücklich wie Gott in Frankreich», a potem się przefarbował na agenta hitlerowskiej propagandy, pisząc między innymi: «Każdy Niemiec przechadzając się po placu de la Concorde, jest zachwycony, ale jednocześnie chciałby to zabrać, podeptać i zniszczyć».

Gdy się dobrze zna Niemców, to wątpić nie można, że znacznie większą radość sprawia im zbombardowanie Zamku Królewskiego i Teatru Wielkiego, lub grabież tryptyku Wita Stwosza, niż położenie łapy na fabrykach łódzkich. To jest ich właściwy «Kulturkampf». Powyżej zacytowane warunki Wilhelma II pozostały napewno aktualne,

leżą niewątpliwie pod ręką na biurku Adolfa Hitlera w Berchtesgaden. Rozpatrzmy je kolejno, a będziemy mieli obraz tego, co się nie da podrobić przez chemię i sprawną organizację, na co nie ma jeszcze «ersatzów».

Francuski koniak? Zdawałoby się błahostka, a jednak Niemców zółć zalewa, że ich koniak nikt pić nie chce. Stąd pomysł ograbienia Francji z jej wszystkich, stuletnich conajmniej, beczek, bez których koniak, wychodzący białutki z alembiku, musi być sztucznie farbowany i aromatyzowany. Dla Niemców byłby to triumf, godzien wygranej bitwy, gdyby na szerokim świecie poczęto odmawiać koniak francuskiego, żądając na gwałt niemieckiego. To samo z szampanem. Zanim się stał ministrem Spraw Zagranicznych, jakże się napocił w roli komiwojażera p. von Ribbentrop, jakże ze skóry wyskakiwał, aby przekonać do swej niemieckiej lury angielskich i amerykańskich konsumentów. I nic z tego nie wyszło.

Jak wielkie znaczenie Niemcy przywiązują do tej uwodzicielskiej produkcji, jakimi są sukienki, kapelusze i pachnidła, dowodzi fakt, że przy ambasadzie niemieckiej w Paryżu wyznaczono specjalnego Attaché z nakazem odbijania Francji jej frywolnej klienteli. Gdy przyjeżdżali z za Oceanu sezonowi «zakupywacze» modeli, kręcił się koło nich zawzięcie, perswadując, że w Berlinie jest lepiej, ładniej i taniej. Byli tacy, którzy dawali się namówić i spartańskie srogie Niemcy urządzały dla nich podobne pokazy. Przeważnie wracali co prędzej do Paryża, co Niemców głęboko raniło w ich... narodowej dumie, (bez żadnej blagi!) i to nietylko dlatego, że ten szeleszczący albo wonny

towar stanowi poważną pozycję w bilansie handlowym.

Ale najbardziej już Niemców boli, że się nie udało wyrwać Paryżowi jego roli światowego centrum sztuki. Jest to istotnie jedna z najcenniejszych zdobyczy Francji republikańskiej. Istniały dawniej szkoły różne, flamandzka, włoska, angielska, hiszpańska, byli też zapewne Dürer i Holbein, dzisiaj atoli faktem jest bezsprzecznym, że istnieje tylko i wyłącznie szkoła paryska. Ściąga ona malarzy całego świata. Przebywa w Paryżu kilkadziesiąt tysięcy artystów cudzoziemców, którzy tutaj się kształcą i dochodzą czasem do sławy. Najgłośniejszy nowoczesny malarz włoski Modigliani należał do szkoły paryskiej, podobnie Japończyk Fuzita, Amerykanin Beer, Holender Gogh. Niemcy dokładali wszelkich starań, aby tę falangę skierować do Monachium, a w ostatnich czasach do Wiednia. Pobudowali w tym celu specjalne i tanie pracownie, zasypywali malarzy, przebywających w Paryżu, indywidualnymi zaproszeniami, obiecując im najdogodniejsze warunki. Nadaremnie. Krótkotrwała secesja wiedeńska, ciężkawe monachijskie dziwactwa boecklinowskie już się ostatecznie przeżyły. O wskrzeszeniu tych zapomnianych placówek nie mogło być mowy. Gorzej, bo nawet niemieccy artyści nie przestawali do ostatnich chwil przedwojennych przyjeżdżać masowo do Paryża. Gdy się «artysta - malarz» Hitler zorientował, że nic się nie da zrobić, że Francja pozostanie nietylko królową mody i wina, ale również szkołą, arbitrem i rynkiem światowej sztuki, zachował się tak mniej więcej, jak ów lis, który się nie mógł dobrać do winogron. Zdecydował raptem, że ta cała sztuka paryska nic nie jest war-

ta, przechrzcił ją dla pewności na żydowską i skazał na banicję, a było w Niemczech dużo cennych okazów. Wobec tego, że nie można wysłać obrazów do Dachau, wyekspediowano je do Bazylei i ZÜRICHU, gdzie zostały sprzedane za grube miliony, gdyż nie ma dzisiaj krytyka, lub światlejszego amatora, któryby nie uchylił kapelusza przed Manetem, Cesannem lub Renoirem.

Poucająca historia. Hitler tu musiał zrozumieć, że są rzeczy, których się siłą nie zdobywa. Odczuł afront, w rodzaju tego, jaki spotyka chama dorobkiewicza, którego pomimo jego milionów do pewnych domów się nie zaprasza, który może sprawić sobie najdroższe ubranie, a będzie zawsze wyglądał jak łyk.

WADY

Wezmę, jak mówią Francuzi, byka za rogi. Z góry Was uprzedzę, co Was będzie mogło we Francji zirytować. Może to posłuży jako kojące antidotum, odtrutka, czy szczepionka. Powiem Wam więc, że, w miarę możliwości, trzeba mieć jak najrzadziej do czynienia z francuskimi urzędami. Istną plagą jest tutejsza biurokracja. Administracja rozrosła się w sposób niebywały. Armia urzędnicza powiększyła się, w stosunku do cyfr z przed wielkiej wojny, o dobre 400.000! Przyłączenie Alzacji i Lotaryngii w 1918 roku, nie usprawiedliwia bynajmniej tak fantastycznego przyrostu gryzipiórków. Przyczyny są inne, natury politycznej. Poseł z głuchej prowincji, chce «urządzić» syna, czy zięcia (Francuz zawsze marzy o emeryturze) wpływowego wyborcy, a gdy miejsca wolnego nie ma, to już potrafi wydeptać w odnośnych ministerstwach pomnożenie istniejących etatów. Już jest dosyć nieprzyjemnie, że za tych niepotrzebnych panów, których oderwano zresztą od roli, lub od ucziwego rzemiosła, trzeba «bulić» grube podatki. Ale to jeszcze można by przeboleć, gdyby te liczne rzesze, w alpagowych narękawkach, zdecydowały się nic nie robić. Ale nie! Oni chcą udawać, że się na coś mogą przydać, a, że nie mają żadnych istotniejszych czynności, więc się to skupia na interesantach, na publiczności, którą się

puszcza przez labirynt zbędnych formalności, którą się oszałamia nawałnicą papierków i coraz to nowych skomplikowanych zarządzeń. Najgorzej, że nie ma żadnej nadziei poprawy. Nie prędko się narodzi Herkules, który będzie w stanie oczyścić stajnię Augiasza francuskiej biurokracji. Korzystając z wojny i z tego, że nie wiedzieć kiedy odbędzie się nowe wybory, rząd mógł się zdobyć na bohaterowski wyczyn, jakim jest skasowanie alkoholu przez trzy dni w tygodniu. Nie odważy się jednak napewno zaatakować statutu urzędniczego, który jest mocniej ufortyfikowany od linii Siegfrieda. Tu niełatwo jest usunąć urzędnika, nawet, gdy jest nieznośny, lub beznadziejnie skretyniały. Musi chyba ukraść, żeby wylecieć, a jeżeli weźmie, co się rzadko zdarza, łapówkę, to większa kara grozi interesantowi, niż jemu: pierwszemu kryminał, a dla niego tylko wewnętrzna procedura dyscyplinarna. Na temat tej urzędniczej nietykalności, znam osobiście pocieszającą historię. Jeden z moich znajomych dostał się, dzięki politycznym poparciom, do Ministerstwa Pracy, z najniższym stopniem służbowym. Nie zmienił ani trochę, z tego powodu, swego dotychczasowego trybu życia. Jak dawniej w godzinach biurowych, grywał sobie w bridge'a w zacisznej kawiarence. Przez dwa lata zachodził do ministerstwa tylko raz na miesiąc: do kasy! Gdy się to nareszcie wykryło, poszedł raport do Komisji dyscyplinarnej, która orzekła, że zaniedbywanie służby pociąga za sobą statutowo jedną tylko sankcję, a mianowicie: cofnięcie o jedną rangę niżej. A że mój znajomy miał stopień najniższy, więc musiano go najprzód podnieść o szczebel wzwyż, tak, że mój znajomy pobierał przez trzy miesiące wyższą pensję! — Takich sym-

patycznych biurokratów jest niestety niewielu. Inni uważają za swój obowiązek kręcić się, dłużyć, hamować dziwaczными pomysłami aparat administracyjny, a że im absolutnie nic nie grozi, mogą sobie na wszystko pozwalać; kiedy im nie podoba się głowa klienta, czy klientki. Znałem takiego podpomocnika podatkowego poborcy, który wskutek zapewne jakichś osobistych przeżyć, nie mógł znieść blondynek. Te biedaczki nie mogły się od niego spodziewać jakichkolwiek ułatwień, ulg lub odroczeń. Gdy widziały, że urzęduje, wycofywały się panicznie!

Ci z nas, którzy nie poszli do wojska i musieli sobie wyrabiać karty tożsamości, mieli już próbkę, w Prefekturze, tej zawiłej biurokratycznej procedury. Grzeczni byli urzędnicy, nie przeczę, ale prawdziwa grzeczność urzędnicza nie polega na uśmiechach, lecz na szybkim załatwianiu sprawy. Nie było naprawdę powodu do wystawiania przez parę dni w ogonkach, do pędzenia po piętrach z biura do biura, po różnych skrzydłach budynku, od Annasza do Kaifasza, i znów, gdy wszystko zdawało się być skończone, do Annasza, w poszukiwaniu jakiegoś innego biura, którego nikt nie potrafił ściśle wskazać. Wszak chodziło o rzeczy proste, które można było piorunem uregulować, przy tym samym okienku. Ale właśnie cały «cy-mes» polega na tym, żeby to nie było zbyt proste.

Dobrodusznym rodacy zwrócili mi uwagę, że Francja nie ma monopolu na te chińskie ceregiele. W Warszawie, na poczcie głównej, gdy się nareszcie doczekało swej kolei przy okienku listów polecanych, urzędniczka odsyłała cierpko «cierpiętnika» do okienka znaczków pocztowych, a więc do

ponownej i jeszcze raz powrotnej kolejki. To możliwe, ale jedno drugiego nie usprawiedliwia.

Podziwiałem, ile urzędników, czasu i papieru mają tutaj sekwestratorzy. Widziałem na własne oczy szereg kategoriycznych pozwów, białych na początku, potem zielonych, następnie żółtych, wreszcie niebieskich, domagających się tonem coraz groźniejszym wniesienia niedopłaconego podatku w sumie... jednego centyma!

Tymi metodami przejęły się wielkie instytucje bankowe, stare zbiurokratyzowane centrale, mające setki filij w Paryżu i na prowincji. Życzę każdemu, aby miał do podniesienia czek w jednym z banków amerykańskich w Paryżu, i to nie tylko na zawsze mile widziane dolary, ale żeby zobaczyć, jak to się tam błyskawicznie odbywa. Idzie się wprost do kasjera, który jedną ręką bierze czek, a drugą już wypłaca pieniądze. Wszystko razem trwa może 30 sekund. A w bankach francuskich? Spieszyć się nie trzeba, trzeba pokazać paszport, który powolny urzędnik ogląda, wertuje, obwąchuje. Zapisuje on numer paszportu, adres, patrzy się bacznie, czy twarz klienta zgadza się z fotografią, wreszcie, po ciężkim namyśle, doręcza kolejny numer do kasy, która znajduje się zupełnie gdzie indziej. Nie wiem, co się potem z tym czekiem robi, ale trwa to długo. Ciągłe się ma wrażenie, że się zostało zapomnianym. Możliwe, że przez ten czas przeczytałeś mniejszą książkę, od deski do deski. Gdy nareszcie pada oczekiwany numer, interesant często albo sobie poszedł, albo zasnął.

Starałem się dowiedzieć, że przeciętny Francuz nie jest małostkowy, natomiast biurokracja jest niewątpliwie i przesadnie drobiazgową. Paszport o jeden dzień przedawniony, przestaje być dowodem

tożsamości, czek wystawiony na 50,000 franków, przez stałego klienta banku, zostanie kompromitującą odrzucony, jako bez pokrycia, jeżeli w saldzie zabraknie choćby tylko 50 centymów. To samo jest z policją. Wjeżdżając po raz pierwszy samochodem do Warszawy przez most Kierbedzia, nie wiedziałem, że trzeba objechać dookoła kolumny Zygmunta. Podszedł policjant, wręczył mi kartkę oderwaną od kwestionariusza, zapłaciłem dwa złote i koniec! Tutaj, gdy się coś podobnego zdarzy, trzeba pokazywać papiery, spisuje się protokół, jest się wezwanym na proces trybunału policyjnego, trwa to wszystko parę miesięcy i wreszcie normalna kara 5 franków wynosi, z okrasą tych dodatków, z górą dwieście.

Ale zatory biurokratyczne mają jeszcze ważniejsze konsekwencje, niż zniecierpliwienie jednostek. Opóźniają one i paraliżują rozważne inicjatywy odpowiedzialnych ministrów. Jeżeli szpitalnictwo francuskie nie stoi na właściwym poziomie, jeżeli laboratoria naukowe są nędznie uposażone, jeśli Pani Curie-Skłodowska musiała dokonywać swych kapitalnych doświadczeń w dziurawej wozowni, jeżeli restauracji pałaców w Fontainebleau i Wersalu musiał się podjąć prywatnie Rockefeller, to dlatego, że odnośne projekty kredytów przechodziły przez zbyt wiele rąk, że zostały kolejno obskubywane, przetrzymywane przez łańcuch bezrobotnych urzędników.

Gdyby nie ten hamulec biurokratyczny, Francja napewno osiągnęłaby więcej jeszcze na polu tej wiedzy, gdzie nie wystarcza biblioteka, papier i kałamarz, gdzie potrzebne są jeszcze właściwe urządzenia, instrumenty, kosztowne preparaty.

ZAKOŃCZENIE

Wysoko postawiona polska osobistość powiedziała mi niedawno:

«Często nam się zdarza, że nie robimy różnicy między pychą, a godnością.

Pierwsza jest rażąca, druga wzbudza szacunek. Unikajmy więc nadymania się, stawiania się, ale nie wpadajmy tym bardziej w jakąś wstydliwą pokorę. Wówczas wywieziemy z Francji korzystne doświadczenia, pozostawiając nawzajem wspomnienie porządnych gości i dobrych towarzyszy broni.»

Przemyślałem te słowa i zdaje mi się, że nie można ich interpretować inaczej, jak życzeniem, żebyśmy np. nie mówili Francuzom, co sam słyszałem, że myśmy tylko naprawdę wojowali, gdy oni prowadzą jakąś śmieszoną wojnę, zwłaszcza, że «bal» na całego może się zacząć lada chwila. Opryskliwość jest zbędna, jak dajmy na to oklepiane wymawianie Francuzom, że nic nie rozumieją, bo nie znają geografii! Można się bowiem narażić na słuszną odpowiedź, że bez znajomości geografii Francuzi chybaby nie posiadali kolonii w pięciu częściach świata. Bądźmy sprawiedliwi. Być może, że przeciętny Francuz nic nie wie o jeziorze Augustowskim, ale zato nie brak chyba Polaków, którzy nie rozróżniają Taiti od Haiti. To się zupełnie kompensuje.

Ktoś jeszcze z wybitniejszych Polaków wspominał mi (bo sam na własny rachunek już nie chcę zanudzać czytelnika), że powinniśmy się starać o pewną dyskrecję, unikać szampana w biały dzień i zbyt wytwornych, kosztownych mundurów, bo nie jest to wskazane w obecnych czasach. Doradzają nam również trochę tolerancji. Nie warto naprzykład «sztorcować» francuskiego podoficera (bo i to się zdarzało) za to, że się w porę nie ukłonił, gdyż nie jest on jeszcze oswojony z naszymi odznakami.

Odradza się nam niepotrzebne krytyki, apelując do naszej wrodzonej kultury towarzyskiej, która przecież nie pozwala nam powiedzieć przed panią domu, że jej kolacja była «pod psem».

Natomiast spokojnie i godnie nie powinniśmy pozwalać na dewaloryzację, czy też obniżenie naszego poświęcenia, które stanowi nasz wielki kapitał moralny, ale i konkretny zarazem, wniesiony do wspólnej, olbrzymiej rozgrywki. Nie wahajmy się nigdy przypomnieć, że gdy cała armia niemiecka i lotnictwo niszczyły Polskę, Francja i Anglia dlatego właśnie mogły przeprowadzić spokojnie mobilizację i koncentrację swych wojsk. Nie omieszkajmy podkreślać, że jeżeli Warszawa broniła się bohatercko, to nie tylko dla obrony honoru, ale również dlatego, aby przed 1 października ani jeden samolot niemiecki i ani jeden czołg nie mogły być przerzucone na granicę francuską. Jeżeli będzie to powiedziane bez forfanterii i przyjaźnie, to Francuz, który te słowa usłyszy, uściśnie nam dłoń w pobratymczym milczeniu. Już mówiłem, że tego rodzaju uczucia są zawsze wzajemne. W chwili, kiedy my odkrywamy Francję, ona nas też w całej pełni zrozumie.

„**KOHORTA**” w

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1393377

Ukazały się następujące książki:

Henryk Korab-Kucharski Odkryjmy Francję.

Stefan Koterski Błędy.

Jan Kowalski Gestapo w Polsce
(z tajemnic szpiegostwa III Rzeszy).

Jerzy Pomian Ta, o którą walczymy.

Biblioteka Główna UMK



300020981290

Czytajcie książki pomarańczowe
żądajcie książek pomarańczowych

„**KOHORTY**”